

# POLSKA WALCZĄCA

Biblioteka  
UMCS  
Lublin

## ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 27-go stycznia 1945r.

Rok VII. Nr. 4

# ODPOWIEDZI NA ANKIETĘ

O prostego człowieka i jego poczucie zadowolenia, o postęp i polepszenie jego doli w Polsce idzie dziś walka i gra.

Mało się ludzie pytają, co czuje, co myśli, w co wierzy polski żołnierz. I nawet unikają coraz częściej stwierdzenia: o co się bje.

A przecież na emigracji wojsko właśnie stanowi gros społeczeństwa, na nim, jak na podstawie nie dlatego że zbrojnej, ale że najliczniejszej, że młodej, że prężnej, że reprezentującej przyszłość — oparte jest nasze istnienie.

Nie posiadamy swego instytutu Gallupa. Nie robimy przekrojów opinii, ani jej sondowania. Może plotki i nastroje londyńskie są w tym względzie materiałem wystarczającym? Nie wiem, czy ktokolwiek może się nimi posługiwać jako argumentem. Ale wiem, że mógłby się posługiwać opinią wojska. Bo stanowi ono wystarczający przekrój wszystkich warstw, klas i pochodzeń, wszystkich ziem polskich, mających reprezentantów swoich w tej armii. Zwłaszcza ostatnio, kiedy napływ nowych uzupełnień z kontynentu wydatnie rozszerzył platformę myślenia i czucia tej grupy ludzi, która po czterech latach pobytu w Anglii czy Szkocji mogła się zdawać odcięta od obecnej rzeczywistości europejskiej. Ci ludzie, którzy zostawili rodziny w Polsce, mają prawo mówić w jej imieniu. Ale wygląda zbyt często, że nikt nie jest ciekaw ich głosu. Nikt nie pochyli ucha między tych najskromniejszych, najbardziej wiernych i często bardzo mądrych, aby posłuchać, co mówią i czego chcą.

A jeśli nawet ktoś słucha, nie o tym niestety nie wiemy.

Uderzało mnie zawsze w zetknięciu z tak zwanym prostym żołnierzem jego poczucie patriotyczne i obywatelski stosunek do sprawy ogólnej. To już nie Jaśki, Maćki i Wasyle naszych okresów rekruckich w Polsce, prości nie pochodzeniem, ale umysłowością, to ludzie wyrobieni, doświadczeni, oblatani. Widzieli wiele od czasu września. Nauczyli się nie mało. Wiedzą. Pobyt w Anglii także niejednego przerobił — i to gruntownie. Mówił mi któryś na froncie: bardzo się uświadomili przez te cztery lata. W Polsce to byli czasem puści!

W tej chwili nie ma już miejsca na żadną taką pustotę. Zbyt blisko każdego dotknęła klęska, zbyt jasno pokazała wspólność sprawy, a nawet interesu, mieszczącego się w słowie: Polska. Przekonałem się o tym nie tylko na froncie, ale także w Szkocji. Za pośrednictwem ankiety własnej.

W Obozie Uzupełnień było wielu młodych chłopaków, ochotników z kontynentu, wcielonych do armii polskiej. Zyczliwości i zrozumieniu dowódcy obozu zawdzięczam, że moja propozycja nie poszła na wiatr. Oficer oświatowy sam się zajął jej zorganizowaniem. Wojsko na wysokich szczeblach nie traktuje poważnie ludzi pióra. To są w ich pojęciu cywile — choćby przebrani w mundur podporucznika. A już korespondent wojenny to prawdziwa zmora. I zawsze coś napisze niedokładnie, tam gdzie 9-ty batalion był akurat 8-my — i o łączności zapomni, że także brała udział i pokrepiła z liczbą jeńców i nie wymieni wsparcia żołniami. W rezultacie same rozgoryczenia i pretensje. Ankieta była prosta. Składała

się z trzech czy czterech pytań i żądała odpowiedzi na te pytania. Bez próby narzucania czegośkolwiek. Nie potrzebują podawać nazwisk. Biała kartka papieru przed każdym. Pytania napisane na tablicy brzmiały:

o co się bijesz?  
co powinno ci dać zwycięstwo?  
jaką chciałbyś mieć Polskę?  
jak widzisz własną przyszłość?

A oto streszczenie odpowiedzi. Na pytanie pierwsze:

Bije się więc: o wolność ojczyzny, o stałą i lepszą przyszłość — aby się wojna skończyła, by moglim powrócić do swoich stron rodzinnych — aby zwalczyć wszelkie zło świata nie pozwalające naszemu narodowi polskiemu istnieć — żebym nie był gnębiony przez wroga, ja i moi bracia — by pomścić krzywdy zadane mi przez totalizm — o wolność ojczyzny i rodzin, "co oni cierpią w obozach kacietracyjnych" — by nasze dzieci mieli dobrze i wszyscy mieli pracę i żeby na przyszłość nie było znów wojny — żeby naszych wrogów tak pobić, żeby się więcej nie mogli rzucić na naszą ojczyznę — o służbę i sprawiedliwą sprawę — o wolność całego narodu — o trwałą gwarancję pokoju — żeby Niemcom mordercy nabić "pożądnie" za te złe czyny, jakie popełnili, i żeby się dostać z powrotem do wolnej Polski i kosić żyto na swojej rodzinnej ziemi — żeby już raz był spokój, bo już dość tej wojny — żeby ulepszyć przyszłość dla dalszych pokoleń — żebyśmy wszyscy mieli wolność, jak "mielim przed pięciu latami

i wszystkich Niemców wziąć za tylek i wyrzucić jak pies z Polski" — o swój wreszcie ustrój demokracji.

Co powinno ci dać zwycięstwo: powrót do ojczyzny, żeby się zakończyła ta moja pierońska wędrówka — należyta wolność, możliwość bytu dla każdego Polaka, ażeby uczciwą pracą mogli zarabiać na siebie i swoją rodzinę — oswobodzenie narodu — pracę, chleb, porządek — spokój — odbudowanie prawdziwej ojczyzny i rozszerzenie granic — dobry powrót i powiększenie kraju — wolność i dobre ustawodawstwo — dom taki, jaki polskiemu wojakowi się należy — abym miał dobrze — zabezpieczenie pokoju na długie lata — wszystkim Polakom szczęśliwy powrót — Polskę, jaka była w roku 1939 — spokojną wolność — Polskę większą, katolicką, sprawiedliwą rządzącą się samodzielnie — spokój z tą wędrówką i dobry pobyt w kraju — abyśmy wszyscy razem ze zgodą pracowali, aby zawsze panowała jedność między Polakami — utrwalenie granic, "aby godło państwa naszego mogło swobodnie roztoczyć swe skrzydła nad całym naszym krajem" — o zwrot własności, którą w tej wojnie straciłem i możliwe warunki życiowe we wszystkich warstwach ludności — o zbitcie wrogów, którzy mi dokuczali, i wszelkie prawa w polepszeniu bytu — o równą i braterską zgodę, urządzenie jak się należy każdemu obywatelowi, który walczył o wolność — o ojczyznę "nieco ulepszoną" — o zapewnienie lep-

szego bytu młodemu pokoleniu.

Następne pytania dotyczyły przyszłości polskiej i jego własnej: jak sobie wyobrażasz swoje życie, jaki chciałbyś mieć dom.

Odpowiedzi na nie są najbardziej osobiste, najżywiej objawiające rodzaj doświadczeń i nauk, jakie sobie przyswoili w tej wojnie i z jakich pragną korzystać — tymczasem tylko w nadziei na powrót i możliwość urzędzenia się w życiu na tle odzyskanej ojczyzny według najlepszych swoich możliwości.

Wyobrażam sobie, pisze jeden z nich, że nie zastanę żadnego Niemca na Pomorzu. Chciałbym tak mieć, jak człowiek powinien żyć. Moja wioska powinna być czysta i wesola.

Inny: tak jak w Anglii! Żyć we wsi odbudowanej, bo wszystkie budynki są popsute i pozarywane.

Chciałbym mieć lepsze powodzenie niż za Niemca, mieszkać w miasteczku, mieć różne zabawy i kościoły katolickie i własny dom. I żeby każdy miał takie prawo, jak ja.

Nie życzyłbym sobie w przyszłej Polsce niesprawiedliwości, złodziejstwa i ogólnego zubożenia. Wielu jednak myśli inaczej. Chce Polski choćby takiej tylko, jaka była. Tylko to mieć, co przed wojną mieli, ale poprawione. Ten pragnie lepszego porządku w gospodarstwach oraz stworzenia świetlic, gdzie młodzież by mogła spędzić wolny czas na czytaniu, grach, czy wreszcie zabawić się w spokoju i humorze.

Inny pisze: o przyszłym życiu trudno marzyć, bo jeszcze będę musiał przejść to życie pracą i wytrwałością. Miasto czyste, przemysłowe i wesole i pożyczka na dorobek jest warunkiem, pod "solidne" możliwości po powrocie.

Żeby ziemia polska zamieszkiwana była przez Polaków, a nie tam przez Niemców albo Tatarów — śliczny ogródek i mały domek — to wszystko czego pragnie następny.

Koleżństwo i czystość i zgoda w mieście są podstawami życia dla innego z nich, który dodaje: "ja sobie po wojnie wyobrażam życie bardzo liche, bo będziemy musieli robić jak te woly, aby spłacić dług sprzymierzonym, który będzie trwał aż do końca życia."

Byle więcej o wojnie nie słyszeć — pragnie dalszy. Ale przyznaje, że każdy musi się starać, by "tę naszą Polskę odbudować, jak się patrzy!"

Wielu patrzy dość ciemno na powojenne możliwości życia: ja sobie je wyobrażam smutne, bo ludzi będzie mało a wioski i miasta w gruzach a pieniędzy nie będzie i nie będzie za co budować... Dom przytulny, skromny, lecz bardzo jasny i żeby nie był zależnym, dom czysty i nierozwalny i wygnębione wrogowie i spokój na zagojenie ran Polski! — Wygnać wszystkich Niemców, którzy u nas mieszkali, a tych nowo przybyłych i Bezarabów zostawić do pracy — oto program wielu z odpowiadających. Dobrobyt i miłość wzajemna, zniszczenie kradzieży, zbrodni, samobójstwa i bezrobocia wyczerpuje plany innego.

Czeka mnie ciężka praca i odpowiedzialność dla odbudowy, utrzymania i utrwalenia państwa naszego — mówi znowu żołnierz-obywatel — chcę być pomocnym swym przełożonym, służyć pracą, wiadomością i radą dla tych, którzy mniej wiedzą, niż ja sam.

Po wojnie mam nadzieję, że wrócę w swoje ukochane strony, chciałbym jednak, aby tam gdzie mieszkam były domy równo budowane na jeden wzór oraz ogród zoologiczny i piękne lotnisko... Lepszy porządek, jak przed wojną i żeby nie było tyle różnych kłótli i plotek i grabieży, a poza tym domek z trzema dobrze umeblowanymi pokojami, tak jak wszędzie widzę tu w Szkocji.

Więcej jednolitości i upiększenia wioski — dostać 50 morgowe gospodarstwo i dwa konie, bat w rękę i kapelusze słomiany na głowę i pracować tak jak przed wojną...

Żeby w moim miasteczku Brodnicy powiększono koszary i plac sportów, a również rozmawiać swoim językiem i żyć i bawić się jako wolny Polak, bo wolność jest skarbem dla człowieka i żebym syna mógł posyłać do wyższych szkół.

Życie powojenne srodze liche i biedne widzi dalszy, nudne i smutne, "i nim się to skończy wszystko, trzeba dobrze popracować". Długi, które będziemy płacić "przymnieńcom" martwią następnego z nich — nawet jeżeli wszystkich nieprzyjaciół wypędzimy tam gdzie diabeł młode ma, Amen...

Opowiada im ich własnymi słowami. Mówią za siebie. Nie trzeba żadnego komentara, ani dodatkowych stwierdzeń, aby uznać jaki to świetny, jak obiecujący ludzki materiał.

## PRAWO DO NIEPODLEGŁOŚCI

Miniony tydzień należał do tych okresów wojny, w których bieg wypadków prześciga obieg i rozpoznawanie wiadomości. W ciągu kilku, kilkunastu dni znaczna część Polski została uwolniona spod uciśku pięcioletniej okupacji, a wojska rosyjskie w jednym miejscu przekroczyły przedwojenną granicę Rzeczy.

Ten piorunujący pęd zdarzeń obchodzi nas Polaków, nas żołnierzy polskich — jak najbliższej, bo przewala się przez naszą umęczoną ziemię, bo niesie upragnione i długo oczekiwane wyzwolenie naszym domom i naszym rodzinom. Jednak ta chwila uroczysta w życiu każdego narodu, który cierpiał potworną tyranię hitlerowską, w życiu każdego człowieka, który przeżył przeciw tyranii przez lata walczył — nie odpowiada w pełni oczekiwaniom i pragnieniom. Dla nas, żołnierzy, dla nas pierwszych kombatanów tej wojny — uwolnienie od wroga nie oznacza wolności, nie oznacza tego samego, co uwolnienie Francji dla Francuzów, uwolnienie Belgii dla Belgów. Tylko w Polsce oswobodzonych terenów nie obejmuje prawowita władza, która prowadziła na nich walkę z podziemi. Tylko w Polsce los Armii Podziemnej, która ciągle, bez przerwy i w tej chwili jeszcze walczy, uderzając we wspólnego wroga, tylko w Polsce los żołnierzy najbardziej wiernych sprawie sojuszniczej i najbardziej ofiarnych — jest niepewny.

Stwierdził to w przemówieniu do Kraju z dnia 19 stycznia premier Rządu Rzeczypospolitej Polskiej, Tomasz Arciszewski. Ale to przemówienie — proste, uczciwe, szlachetne, przemówienie starego bo-

jowca i jednego z przewodców walki podziemnej nie jest tylko stwierdzeniem tego stanu rzeczy. Jest ono czymś więcej. Jest jeszcze jedną próbą dojścia do porozumienia z Rosją, do usunięcia zapory, zagrażającej drodze do zgody i dobroświątliwego współżycia. "Nie chcemy i nie możemy chcieć niczego od Rosji. Rosja nie potrzebuje niczego od nas" — są s'owa Szefa Rządu Polskiego. — "Wyciągamy rękę do Rosji i nie wierzymy, by ręka ta była odrzucona. Prawo do rzeczywistej niepodległości naszego narodu — oto cały nasz program, oto nasze zdanie. Prawo — to znaczy, że nie bagnet, choćby sławą okryty, dyktuje kto ma rządzić krajem. Wolność — to nie tylko wyzwolenie z niemieckiej niewoli. To wolność osobista, wolność słowa i myśli, wolność prasy, stowarzyszeń i związków, swoboda religijna, to rząd nie narzucony siłą, lecz powstały na podstawie demokratycznych wyborów bez obcego nacisku".

Te s'owa popiera ca'a opinia polska w Kraju i na emigracji, popierają wszyscy żołnierze Polskich Sił Zbrojnych, gdziekolwiek są i gdziekolwiek walczy ze wspólnym wrogiem Polski i Rosji, wspólnym wrogiem wolności. Te słowa stanowią wyznaczenie naszej żołnierskiej wiary i określenie możliwe najpełniejsze, możliwie jasne i proste celu, o który my żołnierze się bijemy, za który społeczność polska ponosiła i ponosi cierpienia nie mające sobie równych.

Wezwanie Premiera Polskiego odbiło się echem nie tylko w sercach polskich. Podjęła je prasa brytyjska, prasa całego wolnego świata. Zrozumieli, ocenili je

wszyscy ludzie wolni. Przytwierdzili im z g'ębi przekonania.

Nie od nas zależy skutek tych słów, czy dalszy bieg spraw po tej stronie dalekich narodów. Ale chcielibyśmy, aby tu pamiętano, że takie słowa zostały powiedziane, że miały za sobą poparcie całego narodu, wszystkich jego żołnierzy. Żeby nam nie miano z r'ę, jeśli je będziemy przypominać.

Nie ma radości na naszej ziemi, nie ma tego uniesienia, tego krzyku szczęścia, który wybiegał naprzeciw naszym żołnierzom we Włoszech we Francji, w Belgii i w Holandii. Nie doczekaliśmy się jeszcze tego, że co n'aciliśmy i n'acimy cenę wysoką, cenę aż nadmierną, na co zastawialiśmy krwawo i nieugięcie. Ale to nie o'abia ani naszej woli, ani naszej wiary. Premier Rzeczypospolitej stwierdził n'rded światem za nas, że milcząca zbiorowość polska, za Polaków żywych i umarłych, że "pień i półletnia walka Narodu Polskiego o byt niepodległy jest faktem, którego się już nie da ani przekształcić, ani zatrzymać..." bo "granice można znowa, ziemię można zabrać, człowieka można zabić, są jednak rzeczy, których się nie da ani n'zeinaczyć, ani zniszczyć".

My żołnierze Polskich Sił Zbrojnych jesteśmy twórcami tych "faktów dokonanych", faktów nieodwołalnych. Będziemy stać na ich straży. Będziemy je pomnażać. Będziemy podnosić głos — "o polskie prawo do prawdziwej niepodległości".

Bo ono jest treścią, sensem, celem naszego życia, walki i kr'ędy, jaką trzeba będzie złożyć — ofiary.

ALEKSANDER JANOWSKI

ALEKSANDER JANTA

### KU OSTATECZNEJ ROZGRYWCE

Zbliżamy się do szczytowego punktu wojny — głoszą komentatorzy zarówno sojusznicze, jak i niemieckie. Co prawda głosi się to raz po raz w czasie wojny. O każdej fazie i o każdej wielkiej ofensywie mówi się jako o rozstrzygającej; a jednak prawdopodobnie tym razem dopiero jest to słusne stwierdzenie. Nie znaczy to oczywiście, że ostateczne rozstrzygnięcie nastąpi niebawem. Trzeba te słowa rozumieć w tym sensie, że zaczęła się kończąca rozgrywka. Jak długo potrwa, tego oczywiście nikt powiedzieć nie może.

Dlaczego dopiero teraz można mówić o ostatecznej rozgrywce? Otóż do tej pory Niemcy mieli na wschodzie możliwość manewru i mogli uprawiać strategię "sprzedawania" — oczywiście możliwe najdrożej — terenu w zamian za czas. Innymi słowy mogli się cofać, grając na wyczerpanie i znużenie przeciwnika. Teren bowiem, który oddawali, aczkolwiek cenny, nie był jednak niezbędny.

Istnieją dwa tereny, których utrata oznacza dla Niemców ostateczną klęskę w szybkim czasie. Jednym z nich jest zagłębie Ruhry i w ogóle reńsko-westfalski okręg przemysłowy, drugim zaś Górny Śląsk /z przyległymi okręgami przemysłowymi i górniczymi/. Bez tych dwu wielkich ośrodków potencjału gospodarczego, bez węgla, szczególnie dziś cennego dla Niemiec, które straciły źródła ropy i muszą fabrykować paliwo syntetyczne z węgla — nie mogą one prowadzić wojny. Dlatego tych dwu ośrodków Niemcy muszą bronić do ostatka. Odwrotu tu być nie może.

Do tej pory zagrożona była tylko Ruhra, przy czym jak dotąd, Niemcy zdolali odparować niebezpieczeństwo. Teraz postępy rosyjskie w kierunku Śląska sprawiły, że i drugi nieodzowny ośrodek przemysłowy znalazł się w bezpośrednim niebezpieczeństwie. Tym samym i na wschodzie skończyła się dla Niemców możliwość cofania się, przynajmniej jeśli chodzi o ten odcinek. Dlatego właśnie weszliśmy w okres ostatecznej rozgrywki.

### CELE ROSJI

Przez cały tydzień ubiegły wypadki rozwijały się z zadziwiającą szybkością. Każdy dzień przynosił nowe sukcesy sowieckie, co więcej zaś — nowe ofensywy. Cały front stanął w ogniu.

O ile początkowo odnosiło się wrażenie, że ofensywa Koniewa w kierunku Śląska jest głównym uderzeniem, to później zarysowała się moż-

liwość, że jednak największy ciężar gatunkowy ma ofensywa Żukowa w kierunku na Poznań. Zresztą z każdym dniem stawało się jasniejsze, że rosyjska ofensywa zimowa ma nie jeden, lecz wiele obiektów. Atakując wszędzie, usiłując obok frontowego ataku od wschodu na Królewiec poprzez pomost Wystrucy, również wdrzeć się do Prus Wschodnich poprzez pomost olsztyński, a nawet odciąć całe Prusy Wschodnie przez atak w kierunku Torunia i Gdańska, prac na Poznań, rozszerzając front ataku w kierunku Śląska przez ofensywę pomiędzy Krakowem a Karpaciami — Rosjanie starają się nie dać Niemcom czasu na zorganizowanie obrony i rozgromić Wehrmacht, zanim zdola się przegrupować.

Niewątpliwie istnieją pewne podobieństwa, ale także i duże różnice pomiędzy sytuacją wytworzoną w lecie, gdy armie Eisenhowera na szerokim froncie doszły do granicy Niemiec i zagroziły zagłębiu Ruhry, a obecną sytuacją na wschodzie. W obu wypadkach postępy były błyskawiczne i powstała możliwość zadania Niemcom decydującego ciosu. Wówczas jednak armie sojusznicze utknęły. Czy Niemcy potrafią powtórzyć na wschodzie to, czego zdolali wczesną jesienią dokonać na zachodzie?

Słabością Sojuszników było, że przebyli tak wielką przestrzeń, iż trudności zaopatrzenia zmuszały do chwilowego zawieszenia działań. Teraz na wschodzie przestrzeń do przebycia przed uderzeniem na Śląsk była znacznie mniejsza i trudności transportowe, aczkolwiek na pewno bardzo wielkie, jednak mogą być łatwiejsze do przezwyciężenia. Poza tym na zachodzie Niemcy mieli linię Zygryda, na wschodzie niczego na tę skalę nie posiadają.

Z drugiej strony wówczas armie niemieckie na zachodzie były całkowicie rozbite. Tylko niuankoniona zwłoka w ofensywie sojuszniczej dała Niemcom czas na odbudowę sił, odzyskanie równowagi. Tymczasem na wschodzie armie niemieckie jak dotychczas nie są rozbite.

### BANKRUCTWO STRATEGII NIEMIECKIEJ

Jednym z najbardziej charakterystycznych rysów pierwszego tygodnia ofensywy rosyjskiej była stosunkowo bardzo mała liczba jeńców — 25.000. Nawet jeżeli wzniesie ona pokąźnie w najbliższych dniach, to jednak nie da się porównać z olbrzy-

miłymi ilościami jeńców, branimi przy przełomach na taką skalę. Cyfra ta zdaje się potwierdzać przypuszczenia już poprzednio wypowiedziane przez niektórych komentatorów, których zdaniem Niemcy przewidywali niemożność utrzymania dotychczasowej linii frontu i dlatego wycofali dużą część swych sił, trzymając front stosunkowo małymi siłami. Ostatecznie od dawna było wiadome, że Rosjanie mają przewagę w stosunku około 3:1. Tu zresztą tkwi cała tajemnica sukcesów sowieckich, tak jak w dotychczasowej równowadze sił na froncie zachodnim zawierała się tajemnica, dlaczego nie nastąpiła tam jeszcze decyzja.

Sily niemieckie na froncie rosyjskim oceniane są na około 150 dywizji. Pewna ilość ich jest jednak unieruchomiona w Kurlandii. Dlatego Niemcy trzymają się tam z takim uporem — niewiadomo. Dywizje te przetrzuczone do Prus Wschodnich mogły stworzyć możliwości ofensywne, któreby bardzo utrudniały obecne uderzenie sowieckie. W ogóle strategia niemiecka nosi takie piętno marnotrawstwa sił, że niepodobna jej wytłumaczyć inaczej, aniżeli osławioną "intuicją" kaprala Adolfa Hitlera. Po co Niemcy tak zwlekali z wycofaniem się z Włoch? Dlaczego wciąż jeszcze poświęcają kilkanaście dywizji na trzymanie Norwegii? Jeśli by zsumować te martwe pozycje, to okazało by się, że chodzi o kilkadziesiąt dywizji, które mogłyby poważnie wpłynąć na sytuację na decydujących frontach.

Tym razem coby naprawdę decydowali generałowie i dlatego możliwe jest, że Niemcy zdolali uratować swe siły. Mieliby w takim razie szansę ewentualnego przeciwuderzenia.

Ale wszystkie domniemane rejon wyjściowe kontrtoofensywy, jeden za drugim dostają się w zasięg sowieckich korpusów pancernych.

Trzeba pamiętać, że na ogół nigdzie w naszych ziemiach zachodnich, ani też po niemieckiej stronie granicy, nie ma naturalnych linii obronnych. Nie ma też umocnień na skalę linii Zygryda. Jedyną szansą więc dla Niemiec jest zmontowanie jakiegos przeciwwuderzenia, przede wszystkim z północnego zachodu. Niebawem pokaże się, czy mają po temu dostateczne siły i czy czasu im stanie.

### NA FRONCIE ZACHODNIM

O pozostałych frontach niewiele jest do powiedzenia. W Ardennach

trwa likwidowanie resztek klina niemieckiego, co ze względu na pogodę jest rzeczą powolną i mozolną. W związku z kontrofensywą von Rundstedta, która według ostatnich obliczeń amerykańskich kosztowała Niemców dwa razy więcej aniżeli sojuszników /w praktyce Amerykanów/, czyli stanowczo zbyt drogo, warto zanotować zapewnienia premiera Churchilla, że przyczyni się ona raczej do skrócenia wojny, niż do jej przedłużenia i że nie opóźni ona ostatecznej klęski Niemiec na zachodzie.

Niemcy pocieszać się mogą jedynie pewnymi sukcesami w północnej Alzacji, gdzie zagrożenie Strasbourga ostatnio wzrosło. Francuzi podjęli ofensywę dalej na południe przeciw "workowi" wokół Kolmaru, co jednak nie może odbić się na sytuacji w rejonie Strasbourga.

### WYCIĄGNIĘTA REKA POLSKA

Zajęcie przez wojska sowieckie ruin Warszawy, oraz szybkie usuwanie Niemców z Polski środkowej i zachodniej jeszcze bardziej zaktualizowało sprawę polską. Raz jeszcze i to w sposób szczególnie jaskrawy stało się jasne dla świata, że oswojenie Niemców to nie koniec, lecz raczej początek najtrudniejszych zagadnień politycznych. Tragiczną sytuacją, w której po pięciu i pół latach bezprzykładnych ofiar i poświęceń, chwila klęski i wypędzenia wroga z Warszawy nie może być święcona jako chwila odzyskania wolności, nie mógł ująć uwadze narodów haprawdę wolność ceniących. Uczuciom, jakie w tej chwili targają każdym z nas, dał wyraz w swym przemówieniu do Kraju premier Arciszewski. Wyciągnął on rękę do Rosji dokumentując raz jeszcze wobec świata dobrą wolę i chęć porozumienia, której Polska tyle już dawala dowodów. Droga do porozumienia została wyraźnie określona; prowadzi ona poprzez rzeczywiste gwarancje naszej pełnej niepodległości.

Głos ma teraz Rosja. Czy odrzuci wyciągniętą rękę? Czy też uzna, że jednak naprawdę niepodległa Polska jest i dla niej konieczna i że dotychczasowe metody nie prowadzą do celu? Być może nadchodząca konferencja wielkiej trójki da odpowiedź na te pytania, które nie nas tylko nęka. Zadaje je sobie świat cały, który dobrze wie, że w grze jest przyszły pokój.

Niektórzy sądzą, że sprawa polska figurować będzie na pierwszym pla-

nie narad Roosevelta, Stalina i Churchilla. Ale w rzeczywistości zagadnienie polskie jest tylko częścią szerszego zagadnienia. W gruncie rzeczy chodzi ni mniej, ni więcej, tylko o to, czy trzy wielkie mocarstwa mogą utrzymać swój sojusz wojenny, czy też skazany on jest na szybkie rozpadnięcie się. Jeżeli możliwe jest osiągnięcie porozumienia co do podstawowych zasad postępowania, jeżeli nastąpi powrót do prawa i odrzucenie siły jako czynnika decydującego, jeżeli porzucona zostanie zgrabna koncepcja teherańska — to wówczas wszystkie konkretne zagadnienia nie będą nastroczały nieprzewidywalnych trudności. W przeciwnym razie i sprawa Niemiec i sprawa Polski i różne zagadnienia bałkańskie stanowiąc będą coraz to nowe źródła wzajemnej nieufności i nieporozumień.

### PRZED SPOTKANIEM

Tymczasem każdy z trzech partnerów stara się wzmocnić swą pozycję w przeddzień tego brzemiennego w skutki spotkania.

Stalin najpierw stworzył szereg faktów dokonanych w dziedzinie politycznej, a teraz spodziewa się móc rzucić na szalę swe wielkie sukcesy militarne. Nie bez racji stwierdza "Observer" /21 stycznia/ że kontrast między szybkimi postępami rosyjskimi, a stabilizacją frontu zachodniego nie ułatwi zadania zachodnim mężom stanu. Oczywiście nie można wykluczyć, że zanim spotkanie nastąpi, rozpocznie się ofensywa także na zachodzie.

Jednakże Churchill i Roosevelt także mają atuty w swym ręku. Premier brytyjski zdolal przewyciężyć kryzys wewnętrzny na tle sprawy greckiej, która sama zresztą weszła w pomyślniejszą fazę. Prezydent Roosevelt ma bardzo wzmocnioną pozycję dzięki temu, że Senat niemal gwarantuje udział St. Zjednoczonych w organizacji międzynarodowej, o ile budowana ona będzie na zasadach zgodnych z ideałami Ameryki, innymi słowy St. Zjednoczone ofiarują bezpieczeństwo zbiorowe wzajemian za wyrzeczenie się przez inne państwa, w szczególności przez Rosję, polityki ekspansji terytorialnej, prowadzonej jakoby w imię bezpieczeństwa.

Spotkanie wydaje się bliskie. Niebawem więc już możemy się dowiedzieć, czy trzy mocarstwa potrafią znaleźć wspólny język i osiągnąć porozumienie — porozumienie rzetelne, któreby nie zostało zawarte przez poświęcenie interesów któregokolwiek z mniej potężnych sojuszników.

London, 21 stycznia 1945

ALEKSANDER BORAY

# Przegląd tygodniowy

## Nowości lotnicze

Nagle wzmoczenie działalności lotnictwa niemieckiego na froncie zachodnim, zaobserwowane w ciągu drugiej połowy grudnia i pierwszej stycznia, było dla wielu niespodzianką. Nie była to jednak żadna niespodzianka ani dla dowódców brytyjskiego, ani dla amerykańskiego. Już od roku 1942 niemiecka polityka lotnicza dążyła do odbudowy dawnej siły powietrznej Luftwaffe i zapewnienia jej znowu tej roli, jaką ogrywała w operacjach armii niemieckich w latach 1939 i 1940.

Dzieje tych usiłowań słyły po krzywych, które wznosiły się do góry na równi z nadziejami Goeringa, by znowu opadać nagłe w dół, znow się podnosić i znow opadać. Zaniechanie budowy bombowców, nawet nurkowców i całkowite przejście tylko na typy myśliwskie jedno i dwusilnikowe, wreszcie olbrzymi program rozbudowy lotnictwa propulsyjnego, niezwykle szybki rozwój tych maszyn, dawał nadziejom niemieckim pozory realności. Produkcja wzrosła olbrzymio, szczególnie przy końcu 1942 i z początkiem 1943. Samoloty myśliwskie buduje się łatwiej i prędzej niż bombowe, poza tym nie wymagają one tak precyzyjnego i długotrwałego przygotowania załóg, jak bombowe. Toteż cyfry produkcji skoczyły prawie o 100%.

Jednak nagle przyszła interwencja lotnictwa alianckiego, szczególnie dalekiego bombardowania. Zasięg tego lotnictwa pokrył prawie całą Rzeszę. Liczne fabryki, nawet wraz z wyprodukowanym już sprzętem, poszły w ogień.

Nastąpił gwałtowny spadek, sięgający głęboko poniżej zamierzonego minimum, koniecznego do doprowadzenia lotnictwa niemieckiego nie tylko do dawnej wysokości stanów liczebnych pierwszej linii.

Tak to rok 1943 przyniósł ze sobą klęskę pierwotnego, niemieckiego programu rozbudowy lotnictwa. Z charakterystyczną dla nich energią i zapobiegliwością, Niemcy, szukając środków zaradczych przeciw rozbijaniu ich produkcji przez lotnictwo alianckie, zdecydowali schować swój przemysł lotniczy pod ziemię.

Już w ciągu roku 1944 fabryki podziemne zaczęły wypuszczać gotowy sprzęt. Było to konieczne także ze względu na nowy program rozbudowy, obejmujący nowe typy samolotów propulsyjnych. Rok 1944 przyniósł więc zwiększenie stanów liczebnych pierwszej linii lotnictwa niemieckiego.

Jednak tenże sam rok 1944 przyniósł także inną, mniej przyjemną niespodziankę: zastraszający brak personelu lotniczego, szczególnie latającego. W związku z tym powstał nowy projekt, tym razem uzupełnień

personelu, jednak od razu został zburzony przez lądowanie Aliantów i niepowodzenia na terenie Francji i Belgii. W armiach niemieckich zarysowały się olbrzymie luki w ludziach, których nie można było zapłacić zwykłą drogą, a trzeba było zapłacić natychmiast, gdyż nieprzyjaciel stanął przeciw już na ziemi niemieckiej.

W poszukiwaniu uzupełnień sięgnięto wówczas do szkół lotniczych. Kto nie był ukończonym pilotem, musiał iść na front do piechoty i tam bić się jako zwykły piechur. Niektóre gazety szwajcarskie i szwedzkie podają, że zabierano z oddziałów nawet takich specjalistów, jak elektromechaników czy zbrojmistrzów.

Niewątpliwie ci lotnicy wypełnili swój obowiązek wraz z wcielonymi żołnierzami z klasy nieletnich czy z tych daleko poza wiekiem poborowym. Czas krytyczny minął, armia niemiecka odzyskała swą dawną preżność i mogła skutecznie przeciwstawić się naporowi nieprzyjaciela, wreszcie nawet uderzyć.

Jednak lotnicy w piechocie stracili swą wartość dla lotnictwa i tylko ma-

ły procent powrócił do szkół. Nie wpłynęło to dodatnio na możliwości rozwojowe Luftwaffe.

Według obserwatorów neutralnych Niemcy rozporządzają w tej chwili znacznymi rezerwami sprzętu lotniczego. Szybkość, z jaką reorganizowano i przeobrażano już zdawało by się zupełnie rozbitą dywizyjony, które w rekordowym czasie zjawiały się z powrotem na froncie, wskazuje, że ocena wydaje się słuszną. Jednak brak załóg pogłębił się do tego stopnia, że lotnictwo niemieckie nie jest w stanie zwiększyć swej siły liczebnej ponad pewną miarę i, według wszelkiego prawdopodobieństwa, zwiększyć jej już nie będzie w stanie. Może i temu faktowi można przypisać to, że właściwie nie słyszało się wiele o lotnictwie propulsyjnym w czasie walk grudniowych w Belgii. Lotnictwo to jest jeszcze jak się wydaje, w stanie początkowym.

Nie należy bawić się w prorocтва, bowiem ta wojna nauczyła, że nawet najbardziej słusze wnioski mogą okazać się fałszywe w zestawieniu z rzeczywistością, jednak wydaje się, że mimo całej energii, zapobiegliwo-

ści i znakomitych zdolności organizacyjnych niemieckich, Luftwaffe nigdy już nie powróci do gorącej roli, jaką odgrywała w operacjach 1940 roku.

Zarówno rosyjskie, jak i niemieckie komunikaty lotnicze w ostatnich czasach mało wspominają o działaniach lotniczych. Rosjanie podawali z początkiem grudnia poważne sumy zestrzałów /50—70 dziennie/, jednak liczby te kurezyły się stopniowo i w ostatnich dniach przeciętna dla całego frontu od Bałtyku po Dunaj wynosiła osiem zestrzałów dziennie. Zarówno Niemcy, jak i Rosjanie mówili wiele o złych pogodach, o mgłach, chmurach i śniegu z deszczem, który nie pozwalał na użycie lotnictwa w szerokiej skali. Jednak osiem na cały ten olbrzymi front, to stanowczo mało. Można stąd wyciągnąć wniosek, że może na całym tym froncie znajdowała się jedynie minimalna ilość lotnictwa niemieckiego. Jest to całkowicie możliwe, gdyż operacje lotnicze na tak szeroką skalę, jak n.p. owa przeprowadzona przez Luftwaffe przy końcu grudnia, przy pomocy wielu setek samolotów, a skierowana prze-

cio lotnikom alianckim, nie dałaby się przeprowadzić tylko jednostkami, które są bliżej lub dalej frontu zachodniego. Może dowódczemu niemieckiemu ściałono do tego celu także jakieś jednostki z frontu wschodniego. Możliwe, że Niemcy albo nie liczyli się z ofensywą sowiecką natychmiast /podzielając zdanie wielu obserwatorów neutralnych/, albo też opierając się na danych meteorologicznych, kalkulowali, że trzymanie na wschodnim froncie wielu jednostek jest bezcelowe, gdyż i tak nie da się ich użyć skutecznie.

Należy jednak przypuszczać, że jest to tylko przejściowa faza i przy obecnym biegu wypadków niebawem będziemy świadkami wzmoczonej działalności lotniczej po obu stronach, szczególnie na północy, gdyż tam mroźny luty przynosi ze sobą zwykle pogody słoneczne.

Otrzymujemy wiele zapytań: jakie są właściwe liczebne stany lotnictwa sowieckiego na froncie wschodnim? Niestety nie możemy na to odpowiedzieć nawet w przybliżeniu. Opierając się na szwajcarskich piśmiech lotniczych i porównując artykuły dotyczące się Sowietów z prasy szwedzkiej, portugalskiej lub wreszcie hiszpańskiej otrzymujemy tak rozmaite oceny, że trudno się na nich opierać. Szacunki niektórych sięgają 10.000, innych 5.000, znowu innych 15.000.

Wydaje się, że chyba pośrednia między 15 a 5, a więc 10.000 może najbardziej zbliżyć się do rzeczywistości, z tym jednak zastrzeżeniem, że duże są różnice między wartością bojową n.p. typów sowieckich a niemieckich, z plusem dla niemieckich — szczególnie pod względem uzbrojenia. Rosjanie także nie posiadają lotnictwa bombowego ciężkiego w znaczeniu amerykańskim czy brytyjskim, ich lotnictwo bombowe raczej jest zbliżone do dawnego niemieckiego. Natomiast wnioskować można z taktycznego sposobu użycia, że nacisk kładą na współpracę z ziemią, bezpośrednio wsparcie czołgów i piechoty, mniej natomiast na niszczenie ośrodków nieprzyjaciela o znaczeniu strategicznym. N.p. nigdy nie słyszyliśmy o bombardowaniu przez Rosjan fabryk niemieckich, co najwyższej ich operacje lotnicze ograniczały się do ataków na centra komunikacyjne bezpośrednio za liniami.

Z tego może wynikać, że sowieckie lotnictwo bojowe zostało rozwinięte na podobnych zasadach jak niemieckie w roku 1939, a więc mało samodzielne lotnictwa, przy braku lotnictwa strategicznego.

M. J. GORDON

## Z tygodnia na tydzień

14 stycznia: Wojska sowieckie przecięły linię kolejową Warszawa-Kraków na pd. od Kielc i zajęły m.in. Pińczów.

—Lotnictwo Sprzymierzonych toczyło za dnia walki z lotnictwem niemieckim, w których Niemcy stracili 232, a Sprzymierzeni 45 samolotów.

15 stycznia: Wojska sowieckie zajęły Kielce i Działoszyce.

16 stycznia: Wojska sowieckie pod dowództwem marsz. Żukowa zajęły Radom, wojska zaś sowieckie pod dowództwem marsz. Koniewa dotarły do Koniecpola i Miechowa.

—Wojska Sprzymierzonych zajęły Houffalize w Ardennach.

17 stycznia: Wojska sowieckie zajęły Warszawę i Częstochowę. W Lublinie ogłoszono, że wojska sowieckie zajęły Kraków.

—W nocy z 16/17 lotnictwo brytyjskie bombardowało silnie obiekty wojskowe w Niemczech wschodnich i Czechosłowacji.

—Za dnia lotnictwo amerykańskie bombardowało cele wojskowe w Hamburgu i okolicy.

—Wojska brytyjskie zajęły Saloni-

18 stycznia: Niemcy podali, że na ulicach Krakowa toczą się walki. W Moskwie ogłoszono, że wojska sowieckie zajęły Modlin, Piotrków, Łowicz, Sochaczew i Skierniewice.

—Wojska amerykańskie atakują w rejonie Diekirch na pln. od Luksemburga, a wojska brytyjskie w rejonie Susteren na pln. od Akwizgranu.

W piątek dn. 26 stycznia b.r. o godz. 6.15 wiecz.

w Wigmore Hall, Wigmore Street

KONCERT KOŁĘD

angielskich, czeskich, francuskich, polskich, włoskich

wykonawcy:

TOLA KORIAN

diseuse

MARIAN BLASZCZYŃSKI

planista

Dochód na Fundusz Pomocy

Pisarzom w Kraju

—W Izbie Gmin premier Churchill dokonał przeglądu wydarzeń politycznych i wojennych.

19 stycznia: W Moskwie ogłoszono, że wojska sowieckie wdarły się do Prus Wschodnich od północy oraz, że zajęły Mławę, Działdowo, Łódź, Wieluń, Kraków, Jasto i Gorlice.

—Niemcy atakują silnie w Alzacji północnej.

—Premier Arciszewski przemawiając przed radio z Londynu do Kraju powiedział: "Wyciągamy rękę do Rosji i nie wierzymy, by ręka ta była odrzucona".

20 stycznia: Wojska sowieckie zajęły Tyłże, Włocławek, Koto i Koszyce. W Niemczech ogłoszono, że walki toczą się na terenie Rzeszy Niemieckiej w rej. Namysłowa.

—Wojska francuskie rozpoczęły atak przeciwko pozycjom niemieckim na pd. od Colmar.

—W Moskwie ogłoszono, że podpisany został rozejm między rządem węgierskim gen. Miklosza a przedstawicielami Z.S.R.R., W. Brytanii i St. Zjednoczonych.

# Z prasy i walk Armii Krajowej

## Koleżeństwo broni

Koleżeństwo jest czynnikiem silnie wiążącym ludzi, n.p. przy pracy czy w innych jakichś okolicznościach, gdzie występują oni jako pewna, określona grupa, współpracująca ze sobą. Koleżeństwo ma wielkie znaczenie w życiu społecznym, bowiem nie dopuszcza ono do wyrastania szkodliwego samolubstwa, przyzwyczajając do współpracy, do solidarności, a nawet do poświęcania się za drugich. Koleżeństwo występuje jako objaw zarówno w życiu cywilnym, jak i w szeregach wojska, szczególnie zaś zyskuje tam na znaczeniu w czasie wojny.

Tak jak istnieje bowiem zjawisko koleżeństwa w świecie cywilnym w czasie pokoju n.p. w szkole, w pracy zawodowej, czy w sporcie — istnieje również koleżeństwo broni. Czym się koleżeństwo to różni od zwykłego koleżeństwa cywilnego?

Jest to objaw specjalny, powstający w warunkach wyjątkowych w czasie obrzyniego wysiłku i niebezpieczeństwa walczących w czasie wojny żołnierzy. Warunki, w jakich ono powstaje, odbiegają bardzo, jak wiemy, od normalnej pracy lub życia pokojowego. To też i charakter tego koleżeństwa broni, tego związku ludzi walczących w imię wspólnej sprawy ramie przy ramieniu jest inny, niż zwykłego koleżeństwa, musi być ściślejszy, pełniejszy. Wynika też stąd, że koleżeństwo broni ma większą rolę do spełnienia, większe jest jego znaczenie dla armii, niż koleżeństwa cywilnego dla jakiejś grupy.

Zwrócić musimy uwagę na to, że koleżeństwo broni jest pewnego rodzaju koniecznością w armii. O ile w życiu cywilnym jest ono tylko pożądane, o tyle wprost nie można sobie wyobrazić armii nowoczesnej, nieożywionej duchem koleżeństwa. Wątpliwe bowiem się wydaje, czy inaczej armia nowoczesna mogłaby spełnić ogromne i trudne zadania, wymagające wielkiego zgrania się, zżycia się ludzi ze sobą.

Musimy pamiętać, że w wojsku nowoczesnym nie wystarczy najlepsza organizacja i dowództwo, że bardzo wiele zależy od ducha, jaki panuje w oddziale. Wytworzenie zaś tej dobrej atmosfery jest niemożliwe bez istnienia więzi koleżeńskiej. Wynika stąd dalej, że koleżeństwo w wojsku musi być pełniejsze, ściślejsze, trwalsze, niż jakiegokolwiek innu tego rodzaju zjawisko w cywilu.

Musimy uświadomić sobie, że nakaz koleżeńskiego postępowania musi być zachowany zawsze i wszędzie, niezależnie od najcięższych warunków w jakich żołnierz się znajduje. Zdawało by się, że te ciężkie warunki usprawiedliwiają, że niejako zwalniamy, rozgrzeszając od tego nakazu. Tak jednak nie jest. Przeciwnie, żeby utrzymać dobrego ducha bojowego w oddziale, trzeba koleżeństwo zachowywać do ostateczności w warunkach właśnie najtrudniejszych. Nie sztuka bowiem być dobrym kolegą przy stole, w knajpce, w wygodach i spokoju. Ale niebezpieczeństwo, ale trud to są dopiero chwile, w których zdajemy egzamin, w których okazać możemy, czy sami jesteśmy dobrymi kolegami i poznajemy naszych towarzyszy broni.

Przyjaźń nasza wojskowa, nasza solidarność koleżeńska musi być trwała, niezmienna, niezależna od warunków. Musi być szczerą, nie polegającą na kiepskich pozorach życzliwości obłudnej, lecz właśnie musi się objawiać w czynach, w go-

towości poniesienia ofiary, niesienia pomocy, ulgi. Koleżeństwo broni przenikać musi wszystkie chwile i wszystkie dziedziny naszego życia żołnierskiego. Możemy przytoczyć tu cały szereg przykładów tych wypadków, kiedy właśnie poczucie koleżeństwa broni w stosunku do współtowarzyszy musi się ujawnić w zachowaniu się naszym.

A więc zasadą przenikającą nasze życie codzienne w wojsku, musi być zasada solidarności, t.j. poczucia odpowiedzialności wspólnej każdego za wszystkich i wszystkich za każdego, wynikająca ze wspólnych celów, do których dążymy i ze wspólnego losu, jaki nam przypada. Stąd wynika najszerszej pojęty obowiązek niesienia sobie pomocy wzajemnej, nawet tam, gdzie nie ma wyraźnego rozkazu czy polecenia dowództwa. Koleżeństwo, to zjawisko, które nie może powstać na rozkaz z góry. To sprawa naszej samorządności, gotowości do ofiary, do pomocy. Gojona, życie codzienne żołnierza daje tyle okazji do niesienia sobie wzajemnej pomocy: na każdym kroku widzimy, jak wprost nawet zmuszeni jesteśmy do tego, by nie być egoistami, sobkami, ale myśleć także zawsze o innych. Pamiętajmy też bowiem, że w wojsku wszelkie sobkowskie, niekoleżeńskie postępowanie mści się bardzo na tym, kto się tak zachowuje. Tak jednostka nigdy też nie dozna pomocy, ratunku od kolegów. Obowiązek niesienia pomocy

wzajemnej odnosi się jak zaznaczyliśmy do wszystkich chwil naszego życia polowego, a więc obejmuje obowiązek dzielenia się żywnością, kwaterą czy posłaniem lub schronieniem przed zimnem, obowiązkiem ratowania rannego, przyjęcia z pomocą w każdej sytuacji kolede lub oddziałowi i tyle innych prostych, zwykłych a koniecznych czynności. Obowiązek ten wymagać będzie od nas nie tylko jednak usług drobnych, jak dzielenia się jednym papierosem, ale czasem i wielkich, takich, które wkraczają w granicę męstwa wojennego i bohaterstwa, gdzie nie raz staniemy przed koniecznością poświęcenia i narażenia siebie dla ratowania innych.

Należy jeszcze zaznaczyć, że koleżeństwo w wojsku obowiązuje niezależnie od stopnia t.j. jego duch musi przenikać całą armię a nie tylko poszczególne jej grupy, a więc korpus oficerski, podoficerski czy szeregowych. Nić koleżeńska wiązać musi wzajemnie wszystkich żołnierzy między sobą — oficerów z szeregowymi, szeregowych z podoficerami i t.d.

Wszystki sztywny podział, jaki tu istniał kiedyś, powinien zniknąć, zaś koleżeństwo powszechnie panujące w wojsku, niezależnie od szczebli, przyczyni się niewątpliwie do wytworzenia ducha szczerzej demokratycznej tak niezbędnego w nowoczesnym wojsku.

Drugi moment o jakim należy jeszcze wspomnieć to związek zagadnienia koleżeństwa z zagadnie-

niem dyscypliny w wojsku. Trzeba podkreślić, że to wzajemne koleżeństwo pomiędzy żołnierzami różnych szczebli w żadnym wypadku nie może osłabić ducha dyscypliny. Przeciwnie powinno być jego doskonałym uzupełnieniem a dyscyplinę ślepa, niejednokrotnie mechaniczną — zamieni na oparte na głębokim zrozumieniu posłuszeństwo rozkazom. Dyscypliny bowiem nie utrzymuje się zamykaniem się zwierzchników w jakichś wyniosłych sferach w stosunku do podwładnych, lecz na wpojeniu we wszystkich zasady posłuszeństwa wobec rozkazu oraz jego doniosłości.

Koleżeństwo wzajemne — posłuszeństwo rozkazom: oto hasło, które zatem panować musi w życiu żołnierskim. Naturalnie, że całkowicie zrealizowanie tego hasła uzależnione będzie w dużym stopniu od poziomu kulturalnego, umysłowego, etycznego i ideowego wielkich mas narodu, z których rekrutuje się armia.

Streszczając to wszystko stwierdzić musimy, że koleżeństwo wypełnić winno wszelki egoizm, jaki tkwi zresztą w każdym człowieku, że musi przyczynić się do zapomnienia o sobie a myślenia i odczuwania kategoriami braterstwa wojskowego. W tym wypadku szkoła życia polowego będzie dla nas i na przyszłość dobrą szkołą życia, zahartuje bowiem naszą postawę wewnętrzną i umocni nasz charakter. Od naszego zaś zachowania się zależy będzie także i postawa innych. Wpłyniemy w ten sposób na utrzymanie należytego ducha w naszym oddziale i w całej armii przyczyniając się w ten sposób do ułatwienia sobie i innym przetrwania chwil ciężkich i wypełnienia naszych wspólnych obowiązków, jakie podjęliśmy dla sprawy.

/Artykuł z pisma "Żołnierz Polski" nr. 3 /38/, Warszawa, marzec 1944 r./



Nr. 3 (38)

WARSZAWA

MARZEC 1944 R.

Gdzie cywilizacja, gdzie elektryczność — tam obędzie się bez dodatkowych trudności i hałasów. Lecz na zapadłej wsi zasilacze trzeba radioaparat prądnicą korbowa, huczącą jak młyn, męczącą i zdradliwą. Trzeba uruchamiać sieczkarnię czy inną maszynę, żeby zagłuszyć podejrzany warkot.

Nielatwa jest radiotechnika w konspiracji. Tym bardziej, że cała sztuka w szybkich zmianach stanowisk. Dwa dni w jednym "punkcie", to zuchwalstwo. Trzy — to szaleństwo. Za pierwszym razem stacje pomiarowe zanotują użyty "punkt" i gdy "grajek" wróci kiedyś — alarm pościgowy idzie z piorunującą szybkością. I dwu godzin czasem za wiele.

Więc przerzucaj stację. Wymykaj się. Klucz. Myl wroga. Zmieniaj miasto, wieś, mieszkanie. A ciągle z kupą drutów przy sobie, wśród rewizyj, kontroli, łapanek i obław. Z aparatem, bateriami, albo i tą diabelską prądnicą.

Niemiecy specjaliści radiowywiadu, to ten sam gatunek ludzi, co nasi "druciarze". Sprytu im nie brak.

Pracę radiostacji w O. ciągle utrudniały "podjazdy" niemieckie uganiające się jakoś dziwnie bez planu i sensu. Łoskot motorów i ryk klaksona przerywał "grę" i doprowadzał "grajka" do ostatniej pasji. Złośliwość niemiecką trzeba było jakoś pokwitować.

Oslonę z żołnierzy O.S. wzmocniono, urządzono zasadzkę i rozpoczęto polowanie "na wabia": przez trzy dni, a raczej przez trzy doby stacja pracowała bez przerwy. Niemcy mieli tym razem dość czasu, by wystudniować położenie "punktu".

Czwartego dnia pojawił się na drodze samochód. Prywatna ciężarówka z budą. Szofer, ubrany po cywilnemu, borykał się cały czas ze zdelelowanym motorem, aż wreszcie, klnąc ohydnie stanął przed nosem zasadzonego patrolu.

Grzebiąc w gaźniku szofer kłął bez przerwy. Poza tym — co chwilę patrzył na zegarek. I to go zdradziło. Podjazdy używają bowiem do bliższych poszukiwań zegarków magnetycznych noszonych na ręku. Oslona wzięła chytrego Niemca na cel, ale ten kląpnął nagle na

## Służba łączności działa

blotnik, wyrwał spod fartucha pistolet maszynowy i gruchnął serię po krzakach. Spod budy rozprysła banda zandarmów uzbrojonych po zęby. Wrzasnęły wszystkie lufy.

Po kwadransie Niemcy mieli dość. Starcie było wygrane. Bez strat.

Inna stacja A.K. pracowała w gęstym lesie koło C. Żołnierze z osłony trochę się nudzili w jagodziśkach. Szła akurat k nim babina wiejska z koszem na ręce. Za nią — o paręset metrów — chłopak z wiązką chrustu.

Zarłem, od niechcenia, wyszło dwu chłopców na drogę. Pośmiać się, poprzekomarzać z babulką. Chichotki, dowcipuski. Babina mówiła przesłizcznym mazurskim językiem sprzed stu lat chyba.

—A w koszyku, babciu, co macie?  
—Ano pomidory. I ładne. Zobaczcie.

Otwiera babulka kosz i łaps — granat wyciąga. A chłop już leży przy drodze i z chrustu "rozpylacz" dobywa.

Szczęście, że pistolety szybsze były od granatu i od "rozpylacza". Obaj przebrani wywiadowcy zginęli w mgnieniu oka. Ale z zagajnika wyroliła się kupa zandarmów. Długo przyszło ich przepędzać.

Na zwłokach babulki znaleziono zegarek magnetyczny, a pod chustką, w uszach, maleńkie słuchawki.

Takie to żarty . . .

"Grajek" K. zabłąkał się, gnany "podjazdami" aż do P-wa. Sam, bez osłony, bez obserwatora. Póź-

nią nocą wpakował się do stodołki ze swoim aparatem. Zima. Mróz tęgi. Zgrabiałymi rękami nastawił antenę, pociemku nastukał się gozdzię, nim złapał kontakt. Bliski Wschód. Jakiś brat — żołnierz siedział z "tamtej" strony, pławiąc się w syryjskim upale. Tu "grajek" szczekał dygocącymi i dzwoniącymi zębami, przewiewany mroźnym wiatrem na wskróś.

Przy ślepej latarce czytał szyfr i pukał bez końca. Słuchawki na uszach ogłuszały go na wszystkie co się działo.

A tymczasem . . . O sto kroków dalej, po drodze, pelzało auto "podjazd".

Gościnni gospodarze, patrząc na auto-widmo, przystając co parę kroków i snując się tam i sam — umierali ze strachu o "grajka" i o siebie. Ale coś szwankował pod słuch niemiecki i auto oddaliło się.

## Celestynów po raz trzeci

Ciemno, mokro i zimno w celestynowskim lesie. Noc grudniowa ścieka z igliwia lodowatym deszczem. Stacyjka świeci oknami rozmaszanymi we mgłę.

Ostatni pociąg osobowy do Warszawy odchodzi z białych kłębach pary. Sapanie parowozu i łoskot kół tłuką się echem po lesie. Mignęła na skrajcu czerwona latarnia. Tor wolny.

Dopiero za godzinę przeleci tędy pośpieszny "Urлаuberzug" wojskowy.

Czy aby? . . .

Bo właśnie na krzyżwiznie toru, niedaleko stacji, pracuje patrol minerski. Pakietuje przy podkładach szesnaście kilo materiałów wybuchowych. A wzdłuż szyn, w obmokłym lesie, zajmuje stanowiska tego uzbrojony oddział: co siódmy żołnierz ma broń maszynową.

Już po raz trzeci bór celestynowski osłania akcję bojową Polki Podziemnej. Na tym torze odbito w walce cały transport więźniów politycznych, na tym torze niedawno wzięto odwet za masakry warszawskie, na tym torze te-

raz kładzie się znowu śmierć, by wyrównać rachunek za czerwone afisze.

Nie przeszedł "Urлаuberzug". Ziemia — i powietrzem targa wstrząs kolosalnego wybuchu. Rozpędzony parowóz z żywiołową siłą wylatuje z szyn, wali się z nasypu, za nim jeden . . . dwa . . . trzy pulmany przewrócone na bok . . . czwartym z przeraźliwym zgrzytem szarpie i zrywa szyny, aż wyrzucony na torowisko skręca się i druzgocze pod potwornym ciężarem napierających mas żelaza i stali. Dwa dalsze wagony spietrzone jak rozszalałe bestie wdzierają się w rumowisko, miazdzą ściany, skręcają dachy, rwą wszystkie nity i spojenia.

Z dwunastu wagonów ocalało pięć. Zostały w szynach. Bez okien, bez światel, zamarte.

Ku tej reszcie rozbitego pociągu wybiega z lasu oddział szturmowy z pociskami w garści. Huki wybuchów biją tępo, wvtryski ognia rozjaśnia noc. Wagony odpowiadają bezładną strzelaniną.

Niemcy przyjmują walkę. Odstrzelują się coraz gęściej. Na-

wet z rozbitych wagonów zrywają się do obrony. Ale ogień ten idzie na ślepo. Grenadierzy wracają bez strat. I wtedy dziesięć luf miotacz zaczyna serię za serią, siekąc gradem kul po żelazie wagonów.

Drugie natarcie szturmowe następuje, kiedy Niemcy przyswarowują, żeby przecześć gwałtowną falę ognia. Milkną karabiny i swarliwe echa łamać się poczy nają na nowo gradem wybuchów. Granaty, filipinki, termity pękają oslepiającymi bryzgami ognia.

Grenadierzy wdzierają się do wagonów, aby nie zmarnować ani jednego pocisku. Wrzawa starcia ginie w huk, darty na strzępy przez c.k.m., który odcina Niemcom odwrót . . .

I jeszcze raz broń maszynowa ogarnia wartkim ogniem rozbity i płonący pociąg. Niemcy już nie mogą się bronić. Mała 20 zabitych, 30 ciężko rannych i przeszło 100 lżej poranionych. Po 15 minutach walki, opór jest złamany. Mogłaby nastąpić rzeź . . .

—Przerwać ogień . . . Odskok.

nim jeszcze "gra" się skończyła. Dopiero ślady kół i bliska palba karabinowa "Panu Bogu w okno" przekonała głuchosłepego i niewiernego technika, że śmierć się o niego otarła.

Cóż to za ludzie, ci "technicy"! Starych specjalistów było wielu, ale sporo się wykruszyło. Zdążyli jednak wyszkolić nowy narybek, godny podoficerskich co najmniej odznak przy czarno-niebieskiej patce. Było by co pisać o ich przygodach w służbie.

Parę dni przed ewakuacją Kijowa przez Niemców, jeden z "grajków" pojechał tam montować stację A.K. Nakryto go w "Schnellzug" wojskowym. Miał ze sobą sprzęt techniczny, ale Niemcom wystarczyło podejrzenie bez rewizji.

Rezultat był taki, że "grajek" koczył między swą eskortę — zczupakiem na kłamek i razem z walizką wyleciał na łeb z pędzącego "kuriera". Noc go uratowała od kul.

—Było by dobrze — powiada po powrocie — Ale za trzecim koziołem zlamalem słup telegraficzny własnym ciałem. No, może nie zlamalem, ale poculem go dobrze. A potem przyszło pieszo iść parę mil do S . . . żeby wracać do chałupy.

Najlotniejszy z lotnych. Dziś Wilno, za tydzień Góźbrzydz na Wołyniu, Lublin, Góry Świętochryskie . . . Wille, chałupy, gąszcz zagajnika, mróz i błoto: — oni łaszczą swoje aparaty, łapią kontakty z ludźmi i ze światem, stukają szyfrem w mózg i serce Europy.

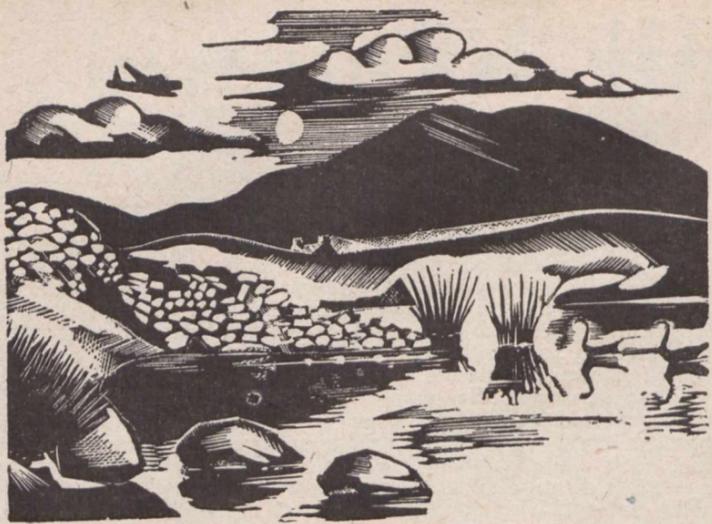
Piosenka o żołnierzu-tulaczu . . .

Informacja dla miłośników, zlecenia decydujące o losach tysięcy, rozkazy bijące wroga w najżywniejsze spłoty — wszystko u'owią w eterze, nieomylnie skierują gdzie trzeba, gdzie czeka Walcząca Kraj.

Jeśli tak ciężkie ofiary ma służba łączności A.K., jeśli tak twarda jest jej praca, to jest w tym mimowolny hold ze strony wroga i świadectwo: bo tego się najciężej przesładuje, kogo się najmniej boi.

SWIADEK

EDWIN



Kaziowi Szymurskiemu —  
naszemu Kapelanowi.

### ROZMOWA ZE STARYM KSIĘDZEM

Ksiądz schylił głowę. Wyblakłe, niegdyś niebieskie oczy, spowiałe dziś i bezbarwne, jak otoczenie, w którym żył, patrzyły z mocą i bolesnym wprost natężeniem.

Wiatr ścisł. I nagle zapadła cisza tak doskonała i czysta, jak tylko w tych odległych, podarktycznych zakątkach globu cisza być może. Żaden dźwięk, żaden szmer nie kałeczył tej świętości spokoju. Przyszła już noc. Objęła fioletowym ramieniem skały, skrwawiła pobliskie szczyty wzgórz i wygładziła fale. Wtedy to ustął wiatr. Tak nagle i niespodziewanie, jak zerwał się był dziś rankiem około 3-ej w nocy huraganem północnym, by szaleć cały dzień do wieczora, by miąć i dusić trawę, szarpać budynki i hangary i trząść wyspę w gigantycznych podmuchach śpiętrzonych mas powietrza i skłębionych zwałach pyłu wodnego. Przyszła w końcu noc i założyła sztywne okowy lodu.

A ksiądz bolesne, bezbarwne oczy podniósł na nas i przygwałdział nas, paraliżował swoim spojrzeniem. Naftowa lampa na stole kopciła i tylko nikły pomienikominka rzucal omdlałe, czerwone błyski. I postać księdza na tym tle wyrastała do ogromnych rozmiarów. A słowa stawały się prorocze.

—Nie wierzcie — ciągnął — temu, co mówią i tym, co krzyczą w świecie. Ziemia powstała z chaosu i gdy rękę Boga odrzuci, wróci w chaos i w krew. Nie wierzcie szaleństwu świata i nie wierzcie ciszy. Obłęd ludzkości niesie ze sobą śmierć. Szukajcie Czynów i Prawdy. Po owocach siewbę poznacie... — I zakrył swe

bolesne oczy ręką tak białą, że aż przeźroczysta.

Z samolotów na naszym lotnisku zdejmują już pewnie pokrowce — o 1-ej w nocy start. Na *runway*'e sypią piasek i sól. Zalogi w mroźnych, przemarzniętych barakach śpią snem kamiennym niewolników bez czucia i marzeń. Może da Bóg, że podniesie się poziom oblodzenia?

O 800 km. na południowy-wschód od nas leży Londyn. Targowisko sumienia i targowisko krwi. Londyn ciepłych, zacisznych *flatów* i wytwornych klubów nocnych. Wieczorowych sukien, diamentów i orchidei. Noc nad nim duszna, zmysłowa, mgielna. Noc londyńska.

Nasza noc dyszy śmiercią. Lodową, jasną, fioletową. I szczyry do nas w uśmiechu zęby mrozu i rani falami. I rani radiem, gazetą, plotką. Krzywdą ludzką.

Siedzimy we trójkę przy kominku: ten stary ksiądz miejscowy, nasz kapelan dywizjonowy i ja. Na 800 km. od Londynu, na malej, odciętej wysepce pod Arktykiem. Słowa są nam prawie niepotrzebne. Ten spokój nocy mów nam wszystko — to spokój sumienia.

Strzeliły dopalające się węgle i wyrwany z zadumy stary ksiądz wyszeptal:

—Za lat pięćset, lub tysiąc, Bóg zawoła, zapyta świat — czy jest wśród was choćby dziesięciu sprawiedliwych? I nie otrzyma odpowiedzi. Świat pędzi w obłęd, w szaleństwo, w chaos.

Kominiek wylał ostatek czerwieni i w tej opadającej ciemności oczy starego księdza zarzyły się bolesną jak rubiny, jak krew.

### KRAJ

Wracaliśmy na rowerach korzystając z ciszy, pogrążeni w milczeniu i myślach. W uszach brzmiały

# WYSPA WIATRU

nam ciągle prorocze słowa księdza i ta dziwna wyspa licząca ledwie 700 mieszkańców i nasze miniaturowe lotnisko z wkopanym w ziemię obozem, wydały się nam przystanią cichą i bezpieczną. Mimo burz, huraganów i szkwałów, mimo gradów, zamieci i oblodzenia.

Księżyc wyszedł zza chmur i oświetlił szczyty wzgórz pokrytych śniegiem, zapalił srebrowo na jeziorach i skały ożywił cieniem. Droga wila się kręto, pozornie bez celu, a na końcu drogi, w dolince, jak ukryta wśród liści piwonii, pałował się światłem nasz *beacon* lotniskowy. Z morza wstawała mgła.

Nasza ma a, dziwna wyspa prześlągnięta zapachem jodu i wilgoci, tak na pozór niegościnna i wroga, tyle kryjąca wdzięku. Piękno tej wyspy jest dzikie, urzekające. Jak gdyby sama Przyroda chciała w nagrodę za ciągłą niepogodę i deszcz, w nielicznych chwilach oddechu oszłomić, upoić nas barwą i kształtem — pięknem.

Wysunięta na otwarty Atlantyk przyjmuje pierwsza frontu burzowe z grenlandzko-islandzkiego basenu niszów. I kipi, wre rozpyloną w powietrzu falą, wbija się w oczy gradem, oślepiła śniegiem o płatkach tak wielkich, jak ćwarka ludzkiej dłoni. I kluje, kaleczy boleśnie zimnem.

W tym klimacie głębokiej Północy ostała się tylko trawa, podmokła, żółka i ostra, rosnąca na nawianych piaskach i płytkim podłożu gleby, wyparta na groble i zbocza niezliczonych jezior, których jest tu więcej chyba, niż łąd, zepchnięta w moczary i trzęsawiska. Rosnąca kępami, bezładnie, nawet na dachach niskich, kurnych chat z poszyciem z gliny wymieszanej ze sianem.

### LUDZIE

Ludność tutejsza pochodzenia celtyckiego, mówiąca językiem *gaelic*, zachowała dziwną, swoistą kulturę, w której pierwiastki greckie, mieszają się z wzorami skandynawskimi i legendami Wikingów. W większości katolicka, głęboko przywiązana do tradycji, prosta i wierna. Być może, surowe warunki bytowania i często nędza wytworzyły tę odporność moralną i bezkompromisowość sumienia. Być może, iż tylko to, że cywilizacja Wielkiego Świata nie dotarła tu jeszcze, by zniszczyć ufność i wiarę i moralność. Lotnisko nasze leży w pobliżu tego malego, zamkniętego w sobie światka i dlatego oddychamy tu tak czystą i rzadko spotykaną atmosferą prostoty.

Jeszcze czterdzieści lat temu zachowywany tu był obyczaj stary, t.zw. *ceilidh*, powstały z tradycji minstrelów, śpiewaków, gdy starsi z rodu, pamiętający dawne czasy, w pełni księżyca, lub na nowiu, zbierali się razem i mówili młodemu o tym co kiedyś, dawniej było. Śpiewano pieśni, recytowano wiersze, opowiadania, legendy. Podawano sobie z ust do ust tradycję starą i kulturę. Przekazywano ją z pokolenia na pokolenie słowem, czystym, nie zepsutym jeszcze słowem. I tak chował się ten lud w ciężkim zmaganiu z groźną, surową przyrodą, w atmosferze legend skandynawskich z czasów okupacji norweskiej XII-go i XIII-go wieku. W pięknie baśni, mitologii greckiej i swej własnej, romantycznej tradycji.

### "PRINCE CHARLIE"

Na tej właśnie, dzikiej i pustynnej wyspie szukał schronienia i znalazł najwierniejsze serce i pomoc, nieszczęsny wódz powstania z 1745 roku — *Prince Charlie*. "The Prince", jak go serdecznie do dziś dnia tu nazywają.

Dawne to były czasy, po pierwszym nieudanym powstaniu celem restauracji Stuartów na tronie angielskim w 1715 roku, zerwało się drugie powstanie, ostatnie, to słynne z 1745-go; jego wygnańcy zawędrowali aż na drugą półkulę a ich potomkowie zapoczątkowali najpierwsze rody Kanady i Stanów Północnych Ameryki. Do dziś dnia dzieje tych powstań żyją tam w pamięci i pieśni, żywe i niezatarte.

Powstanie z roku 1745-go zaszło aż pod Darby, gdzie poniosło swą pierwszą porażkę, która później miała zdecydować o klęsce pod Culloden /koło Inverness/ i ostatecznym zwycięstwie wojsk króla

Jerzego II-go — *King George The Second*.

Po klęsce tej zaczął się okres okrutnych prześladowań i dzikich, bezwzględnych sądów. Ścigany przez wojska hannowerskie Korony Angielskiej, nieszczęsny *Prince Charlie* schronił się na Hebrydy, gdzie spotkał na wyspie o romantycznej nazwie: "wzgórza dwóch brodów" /po gaelicku Benbecula/ największe serce i najczulszą opiekę daną mu przez córę starego rodu szkockiego, najwierniejszego Stuartom. Florę MacDonald.

Wszyscy wówczas na wyspach wiedzieli o nalożonej na jego głowę cenie, o cenie, jak na owe czasy niesłychanej, £30.000! I nikt z tych biednych ludzi żyjących tylko z ubożego polowu i nikłej hodowli owiec, nie zlakomil się na tak łatwy zysk — zdradę swego księcia.

Przez długie sześć tygodni ukrywał się ksiądz na wyspach, mieszkając w szalaszach i jaskiniach, nad brzegami dzikich jezior i wśród skal. Przewożony nocą przez miejscowych rybaków z wyspy na wyspę, przez tylko im znane brody i przesmyki. Wszędzie z nieodłącznym swym towarzyszem i opiekunem — Florą MacDonald. W końcu pod naciskiem pościgu ująć musiał w góry szkockie. Z nim do samego końca najwierniejsza, Flora MacDonald. Późną jesienią opuścił ksiądz łąd

Szkocji i uszedł do Francji. Z tych właśnie czasów pozostała do dziś dnia znana w Szkocji piosenka: "Over the sea, to sky".

Na lewo w dół od mego baraku, ze dwie mile drogi, rozsypują się w deszczu i wichurze ruiny zamczku Flory. Może dziś, w tę jasną noc, są tam oni razem — ona, symbol najczystszej miłości i poświęcenia i on, *Prince Charlie*, romantyk tradycji i serce Szkocji.

### NOC NAD BARAKIEM

Szron na baraku iskrzy się powodzią diamentów. *Beacon* wyrzuca w niebo krótkie, pąsowe luno, jak krzyki gniewu. Para naszych oddechów kłębi się siwo ku górze i niknie wessana przez noc i mróz.

Skrzypią ostro drzwi baraku i słychać szelest uciekających myśli. Oddechy śpiących zduszone i ciężkie — już niedługo do rana. Kąsnieją ręce po zdjęciu rękawiczek. Ziąb.

Za oknami zagrały silniki, pierwsza maszyna idzie na start. Wkadam drugą parę skarpetek i futrzany kombinezon lotniczy.

Zachód słońca po wietrznym dniu



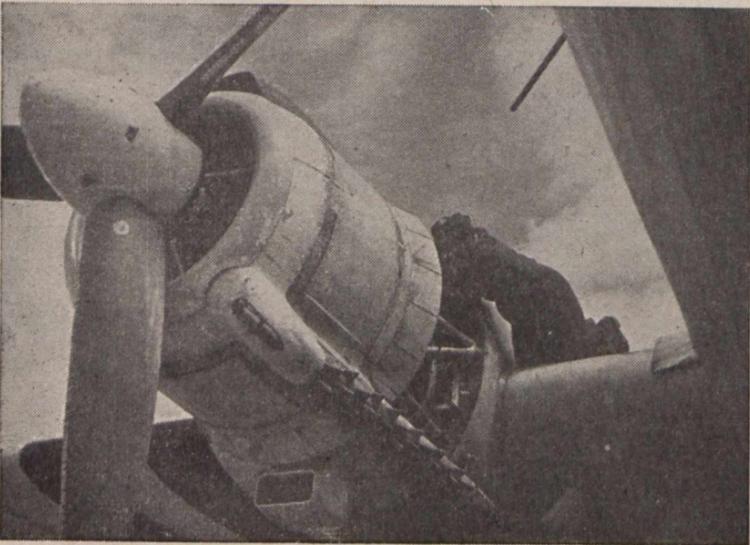
Przez wodę pod wiatr



Powrót z pracy



Mechanicy przy pracy



## Rzecz o Dywizjonie Obrony Wybrzeża

reflektorów noc. Obląkane ze strachu owce ślizgały się na pasach startowych, grzęzły w piasku pobrzeży i oszalałe, nieprzytomne, wpadały pod maszyny i do hangarów. Wreszcie cywilizacja zwyciężyła — owce zepchnięto światłem i wrzaskiem poza zasięgi z drutu kolczastego i maszyny poszły w powietrze. O świcie deszcz ochłodził czoła zwycięzców.

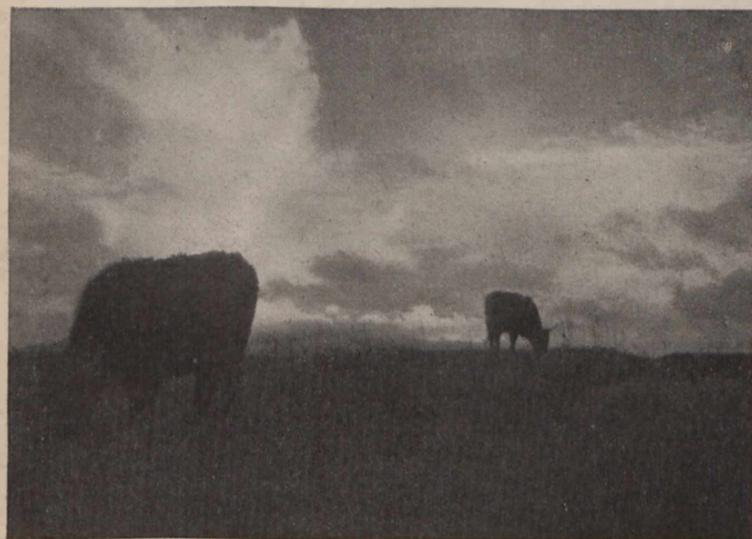
I znów wstał ranek, jak tyle innych, skąpany w szarudze dżdżu, oślizgły. I nowa porcja maszyn wisiła gdzieś nad lodowatym Atlantykiem, szukając śladów niemieckich okrętów podwodnych, prowadząc chytrą, podstępna walkę z techniką niemieckiej radiotelewizji i wynalazczością inżynierii niemieckiej. Z radiolokacją pokładową okrętu podwodnego i pływającym wydechem okrętu w zanurzeniu. Walkę prawie że beznaziejną.

Wylatano już tyle godzin i przetrwano tyle nocy — na próżno. Tyle żyć ludzkich w tych potwornie ciężkich zmaganiach z prawie nowym dla nas żywiołem: z przeciwną odzłoną kropną wody w huraganie, z oszalałym, wściekłym, upłynionym latającym lodem — przeszło o włos, o tchnienie, od tego co w nagranych *Operation Room'ach* nazywają na czarnej, błyszczącej świeżością tablicy: *Overdue*.

Tyle setek godzin męki, rygania, konania maszyny i załogi

fotografie OSWALDA KRYDNERA

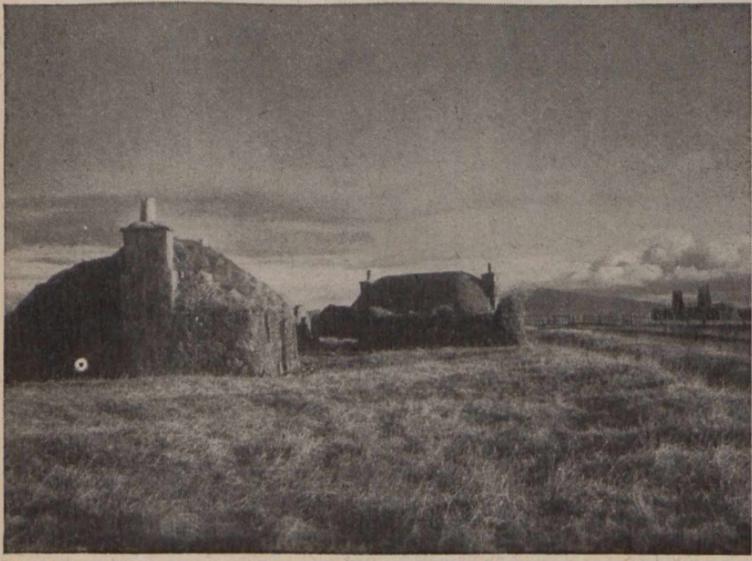
Krowy pasące się na ubogiej trawie



"Zdmuchnięci" rowerzyści



Chaty stałych mieszkańców wyspy



w dzikich, szatańskich podmuchach szkwałów i w groźnej wspaniałości potężnych wylądowań elektrycznych, w zimnych, okrutnych ramionach oblodzenia, na 500 stóp nad rozchukanym Atlantykiem — no nic. Czujne, świetnie wyposażone załogi wroga zanurzały swe okręty i ściągały pod wodę wydechy, nim zmęczony samolot zdążył zbliżyć się do ataku.

### "X" ATAKUJE

Aż wreszcie tego ranka, . . . listopada w piątek, w świt szary, umazany wilgocią, w świt pełny smutku i beznadziei — obudziły się telefonistki drzemające na podsluchu: "X" for X-RAY z naszego Dywizjonu nadała depeszę o ataku. Poruszyło się lotnisko, zaalarmowano *Navy*, poderwano świeże załogi z *readiness'u*. A "X" z pierwszym światłem dnia zjawiała się nad lotniskiem, przeszła kilka stóp nad pasem startowym, pokosiła nad obozem i Stacją i ze skrzytu, bez gazu, siadała po myśliwsku — z fasonem! Lżejsza o sześć bomb głębinowych . . .

Sprawozdanie z ataku było krótkie: w mroku kończącej się nocy jeden z naszych najbardziej utalentowanych pilotów, młodzieńki chorąży Jaworzyn, dowódca załogi Wellingtona "X", zauważył przed sobą płomień i smugę dymu. Płomień wyrastający z wody!

Nie czekał, nie zastanawiał się, wiedział, że to jedyna, pierwsza a być może ostatnia jego okazja ataku. Otworzył drzwi bombowe i zniżył lot. Przy podejściu do ataku płomień znikł — widać wykryto na okręcie atakujący samolot i wciągnięto wydechy silników pod wodę. — Rzucił więc bomby na początek smugi wciąż jeszcze liżącego fale dymu. Eksplozja i fale wyrzuconych w górę pian zakryły obraz. Gdy opadły, na miejscu ataku chwiała się rosnąca wciąż, polyskliwa plama oleju.

To wszystko. Setki wylatanych godzin — na kilkanaście sekund ataku. Wiele miesięcy treningu i zmagania. I wiele załóg, które nie powróciły do bazy.

W godzinę później siadała nasza "elka", która zawróciła z lotu. W drugiej godzinie patrolu prawy silnik zdał obroty i zaczął oddawać ogień. Dociągnęła jednak do bazy. Wróciła.

Lodzi niemieckiej już nie odnaleziono, los jej pozostanie nieznanym. Być może kiedyś, w szyfrach niemieckiej Admiralicji, znajdziemy po wojnie notatkę krótką, że U . . . od dnia . . . listopada 1944 roku, nie nadała żadnej depeszy i więcej jej nie słyszano.

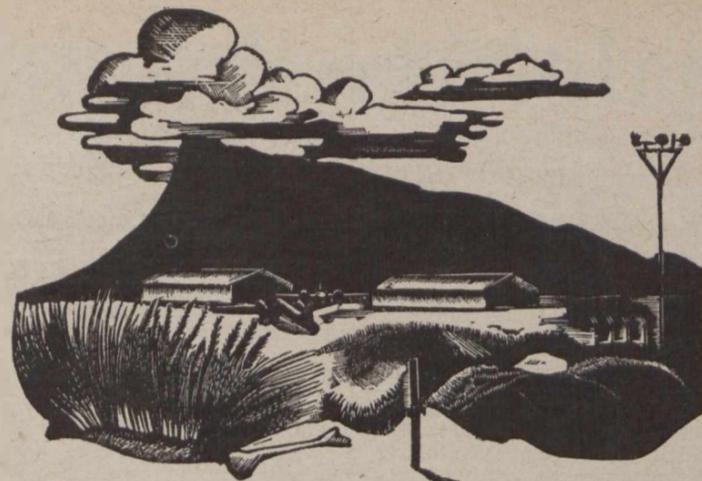
W miejscu ataku przez parę godzin jeszcze świeciła rozwlekła, fluoryzująca plama oleju. Póki nie rozmyły jej fale i wiatr i deszcz . . .

### DZIEŃ POD WIATREM

Dziś znów wieje wiatr. Zimny, lodowy. Ze śniegiem i gradem, przeplatany deszczem. Grad tnie boleśnie w policzki i oslepią. Ciągniemy więc niekończącym się szeregiem wzdłuż drogi z lotniska w kapuzach i paszczach przeciwdeszczowych, czarnym, pogrzebowym korowodem. Skuleni w sobie i cisi — półoslepi. A wiatr wzmacnia się, rośnie, podnosi fale do wysokości grobli i potężnymi uderzeniami podmuchów stara się zrzucić nas ze ścieżki w skłębione, rozżarte fale. Co chwila silniejszy przybój wylewa brudne piany na oślizgły asfalt i rzuca pod nogi naręczą wodorostów. Trzymamy się więc za ręce i krok za krokiem, metr po metrze walcymy z tym porywistym, z każdą minutą tężejącym naporem. Już pół godziny jak idziemy, a normalnie tę drogę przechodzi się w dziesięć minut. Po bokach drogi zapóźnione, pojedyncze krowy z żalosnym rykiem przedzierają się pod wiatr z rozwianą i zmierzwioną sierścią. Są karłowate, jak wszystko na tej wyspie, i robią wrażenie stadka nagle wystraszonych huculskich koni. A wiatr wyje, zawodzi, jęczy.

W messie podłoga zalana wodą i rzędy czarnych, gumowych butów pod ścianami. W *sitting room'ie* sino od dymu, którego kłęby złośliwy wiatr wyrzuca z palących się pieców.

Wichura wzmacnia się z każdą chwilą. Już nie sposób iść nawet. Franka, który zagadał się dłużej na lotnisku i wracał samotnie, wicher zrzucił z nasypu i pognał,



drzeworyty DOMINIKA WŁODA

potoczył na skały brzegu, nad morze. Wrócił przemoczony do nitki, przeziębły. Odcinek drogi na grobli pełnił na czworakach. Teraz pije *double whisky* i szczerka zębami.

Siadły komplety do *bridge'a*, lecz nikt nie gra. Wszyscy patrzą na zewnątrz. Zająć popołudniu nie ma, bo nawet wozy boją się wyjechać na drogę. Głośnieki sygnalizująca *gale* 75 węzłów. Pod wieczór ma jeszcze wzrosnąć!

Na dworze pomimo wczesnej pory zapada mrok. Strzępy niskich chmur jakby spłoszone, przebiegają chyłkiem nad dachami messy i przepadają w szarudze wnęki lotniska. Nad nimi potworne kłębowiska wypiętrzonych cumulonimbus'ów suną jak ciężkie czolgi, strasząc ogromem swych kształtów i rudo-czarnym podbarwieniem frontów. Deszcz z gradem dudni głucho układając się w poziome, prawie nieprzenikliwe smugi.

A wiatr zawodzi dziką pieśń, z każdą minutą silniejszy. Bije w okna, łomocze. Szarpie drzwiami i dachem, przygniata zwałami chmur i bije falami wody. Messa drga, trzęsie się, wibruje. Zda się, że każdej chwili dach runie i rozleci się ta klatka ludzkiego więzienia pod gigantycznym ramieniem żywiołu. To już nie wicher, to huragan — agresywny, gwałtowny, złowieszczy.

Tak mijają godziny. Ziab ciągnie przez pokoje mroźnym tchnieniem i rozwiewa włosy na głowach siedzących. Rośnie napięcie i rozdrażnienie. Już wieczór, już noc, już noc, już boli każdy mięsień, każdy nerw . . .

Podano telefoniczną wiadomość, że statek idący do nas z kolegami wracającymi z urlopu trzykrotnie nadawał S.O.S. I zawrócił do portu w Szkocji. Czy doszedł?!

### SŁOWA PRZECIWI HURAGANOWI

Narasta noc i wreszcie wiatr o-

pada. Uderzenia jego są coraz słabsze, coraz bardziej miękkie. Już nie świszczą dziko, nie krztusi się ulewą i złością. Zawodzi tylko śpiewnie w niepozrywanych dotąd drutach i czesząc trawę na torfowiskach siąpi krupistym, miłym deszczem. Chmury podniosły się wyżej i z pomiędzy szpar w poszyciu nieba przegłąda ukradkiem mdły i wyblakły księżyc. Przelatują krótkie szkwały ostatkiem burzowych porywów.

Powoli wychodzimy z messy. Idę z Kaziem, naszym kapłanem dywizjonowym. O czym myśli — nie wiem. Borykając się z wiatrem, idzie ostrożnie, omija kałuże wody i kępy wodorostów. Milczy. Ja milczę także. Ale myśl pracuje intensywnie: — ten wiatr, ta samotność na wyspie, opuszczenie, zapomnienie całej naszej pracy, niepewność losu i jutra i krzywdy, krzywdy na żywym ciele narodu, na tym wszystkim co było dla nas święte. Co było celem, istotą walki! Dlaczego?! Czy tylko pieniądze jest siłą? A jeśli siłą jest krew, to ile ton tej świeżej, młodzieńczej krwi trzeba wylać, aby obudzić sumienia . . . ?

I naraz, jednocześnie — zaczynamy mówić. Kazik i ja. Mówić o czymś złym, okrutnym, podłym — wiatr zwiewa słowa i rzuca w przestrzeń, wypełniając nam uszy szumem i świstem. Krzyczymy! I wiatr żelazną pięścią wtlacza nam krzyk ten do gardła i palcami wichury dławia nas i dusi. A słowa, zaprawione bólem, huczą nam już w sercu tylko i w mózgach i grzęzną w ściśniętej krtani, solą spływającą na wargi. I nie wiemy czy to wiatr, czy deszcz, czy lzy płyną nam po policzkach.

Zerwały się z krzykiem mewy. Gwiazdy bładły . . .

pisane na Hebrydach,  
w listopadzie 1944 r.

JERZY GŁĘBOCKI

Załoga i maszyna





# Sprawy polskie w książkach angielskich

## WIELKA BRITANIA, TRAKTAT WERSALSKI A POLSKA

Nowa książka R. B. McCalluma\* omawia stosunek brytyjskiej opinii publicznej do traktatu wersalskiego, ukazuje jak twarda postawa r. 1918 ustąpiła miejsca znużeniu, wątpliwościom, niezadowoleniu — by wreszcie przekształcić się w sympatię dla zwyciężonego, z którą szło w parze całkowite niezrozumienie słusznych żądań Francji.

Francję atakowano za nacjonalizm, militarystykę i za sojusz z takimi państwami, jak Polska i Czechosłowacja. Radykali uważali, że czasy sojuszu minęły i że w każdym sojuszu mieści się zarodek wojny. Konserwatyści traktowali państwa Europy środkowej, które traktat wersalski powołał do życia, pogardliwie: były zbyt małe i zbyt nowe. Jest rzeczą znamienią, że żaden z wybitnych brytyjskich mężów stanu nie odwiedził nigdy Warszawy czy Pragi. Ignorancja święta triumfy, McCallum cytuje audycje B.B.C. w noc noworoczną z r. 1932/1933: podnoszono w niej "z nieprawdopodobną beczelnością i lekkomyślnością /with incredible insolence and frivolity/", że Polska większą część swego budżetu obraca na cele wojskowe. Zirykowany tym reportażem, autor zwrócił się do szeregu osób z zapytaniem, ile ludności liczy Polska. Przeważnie odpowiadano, że... cztery miliony.

Zaden z rządów brytyjskich nie rozumiał, że Polska, Czechosłowacja i inne mniejsze państwa mogły zapewnić Wielkiej Brytanii cenne bazy i potężnie wzmacnić jej pozycję wojskową. W szczególności Polska mogła odegrać wielką rolę jako czynnik oporu przeciw napaści Niemiec.

Tymczasem właśnie postanowienia traktatu wersalskiego dotyczące Polski były najmocniej atakowane. Już w czerwcu 1919 r. płk. Wedgwood piorunował w Izbie Gmin, że przyłączono do Polski terytoria Rzeszy bez przeprowadzenia plebiscytów. W lipcu t.r. komandor Kennworthy dowoził, że granicę polsko-niemiecką powinny być wytyczać specjalne komisje mieszane. Stosunek do Polski powojennej znalazł szczególnie jasne wyrażenie w książce Keynesa "Economic Consequences of the Peace /Gospodarstwo następnego pokoju/". Powszechnie uważano, że granice Polski są zbyt rozległe.

McCallum opisuje zmyśloną rozmowę Anglika, przebywającego na studiach w Rzeszy, z agitującym

go Niemcem: "Jest on ekspertem w zakresie wartości kulturalnych, i nie możesz bronić przed nim Polaków i Czechów. Czujesz się zapewne zobowiązany do nieustępowania w pewnych sprawach, w innych musisz ustąpić, gdyż jeśli choćby w jednej sprawie nie ustąpisz, będzie trwało bez końca. Czy możesz bronić korytarza? Jesteś wdzięczny, że masz możliwość ugłaskania Cerbera. "Nein — wołasz, wdzierając się na chwilę śmiało i zwięźle do języka, za którego naukę płacisz. — Nein, das ist zu viel". Harmonia została przywrócona. Udowodniłeś, że jesteś wspaniałomyślny, on zyskał ważny punkt, prawda, że pierwszy, ale to początek. Już nie potrzebuje, by Ribbentrop powiedział mu, że Angliki nigdy nie będą się bili o korytarz. Nic dziwnego, że kiedy dn. 3 września o godz. 11 według czasu letniego Angliki zaczynają bić się o korytarz, Niemiec czuje się oszukany".

Mało zresztą Anglików dopuszczało możliwość, że Wielka Brytania wypowie wojnę z powodu pogwałcenia granic Polski: "wszystkie kanony zdrowego rozsądku nie dopuszczają podobnie dziwacznej fantazji". Ale tak się stało, mimo że zarówno konserwatyści jak liberaliści uważali granice Polski za doskonały przykład niedorzeczności traktatu wersalskiego. Rzecz prosta, że Wielkiej Brytanii nie chodziło o to, czy słupy graniczne znajdują się o kilkadziesiąt kilometrów na wschód czy zachód. Chodziło o zasadę, Monachium dowiodło, że pokojowa rewizja granic skończyła się katastrofą.

## REWIZJA GRANIC POLSKI

Redaktor przyjaznego Polsce /w granicach oficjalnej polityki brytyjskiej/ doskonałego tygodnika "Spectator", William Harris, dokonuje w książce "Problems of the Peace /Zagadnienia pokoju/" — orzeczenia najważniejszych zagadnień, którymi będzie się musiała zająć przyszła konferencja pokojowa.

Jeden z najistotniejszych jest stosunek Rosji do obszaru na wschód od Niemiec, który uważa ona za swoją "sferę wpływów". Chodzi przy tym nie tylko o to, czy Rosja rozstrzygnie złożone zagadnienia na tych obszarach sprawiedliwie, ale o sposób, w jaki je rozstrzygnie. Harris uważa los państw bałtyckich za przesądzony: w przyszłej Europie nie będzie zapewne miejsca na tak małe państwa niezależne. Inna sprawa z Rumunią i z Polską. Autorowi wy-

daje się, że Rosja nie zagraża niepodległości tych państw, pragnie jedynie przesunąć je bardziej na zachód.

Harris przypomina, że z traktatu brytyjsko-polskiego wynika jasno "the natural implication of the treaty", że po porażce Niemiec Polska powinna "wejść w posiadanie terytoriów, które miała w r. 1939". Tak by się stało, gdyby decyzja zależała wyłącznie od Wielkiej Brytanii, Francji i Stanów Zjednoczonych. Stanowisko Rosji jest jednak inne. Od czasu zaboru wschodniej Polski w r. 1939 zajmuje ona stanowisko nieprzejmowane, mimo że przedtem wielokrotnie potwierdzała traktat ryski, mimo że w traktacie z Polską w r. 1941 unieważniła umowy z Niemcami dotyczące podziału Polski, mimo że Wielka Brytania wyraźnie oświadczyła, iż nie uznaje żadnych zmian w granicach Polski od r. 1939. Być może, przyszła konferencja pokojowa podzieli stanowisko Rosji, ale zanim to nastąpi, "jest rzeczą całkowicie niedopuszczalną, by to czy inne państwo, Rosja, Wielka Brytania, Stany Zjednoczone czy też sama Polska, miało uważać szczególnie sporną kwestię za rozstrzygniętą... na swoją korzyść, w dodatku jeśli to rozstrzygnięcie sprzeciwia się wyraźnej Karcie Atlantycznej".

Jeśli chodzi o zachodnie granice, Harris chwali rząd polski za wstrzeźliwość. Wchłonienie zbyt wielkiego osetka ludności niemieckiej może wywołać poważne powikłania, tym więcej, że element niemiecki będzie zawsze podsypany przez potężną mimo klęsk wojennej Rzeszy. Rozejna o ekspansji w kierunku Odry nazywa Harris "szaleństwem" i nie przypuszcza, by jakkolwiek rozsądny Polak myślał o tym na serio. Polsce przyspaść powinna natomiast reszta Górnego Śląska i Prusy Wschodnie. Prusy Wschodnie były zawsze kolebką najbardziej napastliwego szowinizmu, są wrogią i niebezpieczną enklawą w polskim terytorium, zagradzają Polsce dostęp do morza. Zagadnienie ludności niemieckiej nie będzie przedstawiało poważniejszych trudności: przeczciła ją wojna, okupacja rosyjska spowoduje masową ucieczkę, reszta zostanie przesiedlona. Harris przyznaje, że oddanie Prus Wschodnich sprzeciwia się Karcie Atlantycznej, ale w pewnych wypadkach trzeba wybierać mniejsze zło.

## W SWIECIE WIELICZKÓW

Powieść Elisabeth Kyle "The Slater's Waltz" /tytuł wzięty z na-

\* The Slater's Waltz. By Elisabeth Kyle. Londyn, Peter Davis, 1944; str. 6nl, i 289 i 1nl.

zwy popularnego walca Waldteuffla/ukazuje przygody pięciu gubernantek angielskich, rzuconych przez los do różnych części dawnej monarchii austriacko-węgierskiej. Przebywają one wśród różnych narodów, ale prawie zawsze w sferze arystokratycznej. Koniec powieści rozgrywa się na początku obecnej wojny.

Miss Rose Neville styka się z przedstawicielami znakomitej rodziny polskiej ze Śląska. Ojciec hrabiny Wandy Wieliczki położył duże zasługi dla monarchii; dzieci, Roman i Ludmilla, należą już do pokolenia, które nie idzie na lep posad i zaszczytów: walczą ono o wolność Polski. Wprawdzie los właścicieli ziemskich — Polaków w Austrii nie jest najgorszy, ale położenie Polaków w naborze niemieckim i rosyjskim zmusza Polaków w Austrii do rozpoczęcia akcji w celu uzyskania niepodległości.

Berlin podjudza Ukraińców i doprowadza do zabójstwa namiestnika Galicji Potockiego, spokrewnionego z Wieliczkami. Szybko przychodzi odwet: hr. Roman Wieliczki zabija w kawiarni wrocławskiej wysokiego urzędnika pruskiego. Władze niemieckie wydają go Austrii, i grozi mu kara śmierci. Stara hrabina Wieliczka przybywa do Wiednia, by wystarać się o audiencję u Franciszka Józefa i błagać go o łaskę. Niestety, intrzygi kamarylli dworskiej uniemożliwiają zabiegi hrabiny.

W tym czasie Ludmilla, nie bacząc na ciężkie przeżycia, zainteresowała się starym złotym lustrem, które zobaczyła w oknie antykwarni i postanowiła je nabyć. Ale piękna Polka przyciągnęła uwagę sztywnego oficera austriackiego; pod pretekstem nabycia tegoż lustra, również i on zjawia się w sklepie. Spotyka się z ostrą odprawą. Także druga próba ataku — w hallu hotelowym — nie powiodła się; Ludmilla obraża oficera. Po jego odejściu dowiaduje się, że jest to Felix von Gutenberg, adiutant cesarza, jedyny człowiek, który może wyrobić audiencję. Ludmilla waha się tylko przez chwilę; zabiera lustro i udaje się do pałacu Gutenbergów: Roman potrzebny jest dla sprawy, a Polska jest rzeczą ważniejszą, niż "nędzny honor /paltry honour!". Hrabina Wieliczka popiera decyzję córki.

Nazajutrz Ludmilla zwraca przyśnadaną wagę swoją błażością i podkrążonymi oczami, ale von Gutenberg dotrzymuje przyrzeczenia: hrabina uzyskuje audiencję i łaskę dla syna. Nie wiemy, jak się w pierwszej chwili zachował hr. Ladislas Harasowski, narzeczony Ludmilla, równie jak Roman przewodca ruchu niepodległościowego, kiedy dowiedział się od niej całej prawdy; widocznie jednak przebaczył, bo ślub

się odbył. Von Gutenberg przysłał jako prezent ślubny owo pamiętne lustro, a hr. Harasowski każe je zawiesić na ścianie na wieczną pamiątkę.

Po trzydziestu latach oglądamy Ludmillę w towarzystwie dwóch synów: ulomnego Witolda i przystojnego Ladislasa, w pałacu rodowym, w czasie najazdu niemieckiego. Ladislas, oficer kawalerii, po klęsce swego pułku, ukrywał się w pałacu w przebraniu cywilnym. Wpada oddział niemiecki pod dowództwem von Gutenbergów. Szukają Ladislasa, któremu grozi kara śmierci. Ludmilla przypomina von Gutenbergowi epizod wiedeński. Von Gutenberg z całą galanterią zaznacza, że do razu zstuka. Wówczas Ludmilla wyznaje, że jeden z młodych ludzi jest jego synem. Nie powie jednak, który. Von Gutenberg staje przed straszliwym dylematem, bo nie może rozstrzelać własnego syna, a rozpoznanie jest niemożliwe, gdyż zarówno Ladislas jak Witold podobni są do hrabiny. Na razie rzecz zostaje w zawieszaniu, później von Gutenberg wyludza sekret od własnego wnuka a syna Witolda, małego chłopczyka Karola. Ladislas idzie na rozstrzelanie, a Witold ginie z ręki starego sługi Zareffa, który wprowadził strzelca do Niemców, lecz trafia we własnego pana.

Ta nieprawdopodobna bajda mówi sama za siebie i nie trzeba zneść się nad autorką, która jest ożywiona najlepszymi dążeniami i zawiła tylko tyle, że ma błędne wyobrażenia o polskiej arystokracji /ze Śląska/. Dziwne jest tylko, że przy tym wszystkim p. Elisabeth Kyle ujawnia pewną znajomość spraw polskich, że np. zdaje sobie sprawę z roli Wiednia w kwestii ukraińskiej, że umie podchwycić tak znamienne dla polskich antysemitów odruchy przyjaźni dla Żydów, że orientuje się w stosunku Węgrów do Polaków, że wie, kto to był Bem i Janosik, i t.d. i t.d. Potrafi zdobyć się nawet na humor polityczny, ukazując jak dwie Angielki, które wyszły za mąż, jedna za Węgra, druga za Czecha, przejęły się szowinizmem swoich mężów, pierwsza w stosunku do Rumunów, druga w stosunku do Austriaków.

Wprawdzie Huculi nie mieszkają w Tatrach, Tatrzańską Łomnicą należy do Słowacji a wiedeński Hotel Erzerzok Rainer nie jest hotelem arystokratycznym i nie znajduje się na Ringu — ale, doprawdy, są to drobiazgi. Pocięliśmy się, że w wybitnie polonofilskim utworze dramatycznym z czasów kościuszkowskich "The Fall of Poland" /Londyn 1855/ występuje "małżonka" Kolałaja /jak wiadomo księdza/, która ma na imię... Radziwilla.

SCRUTATOR

## O PRAWDZIWYCH PRZYJACIOLACH POLSKIEGO ŻOŁNIERZA

Szanowny Panie Redaktorze, W szeregu zdawkowych frazesów, od których roją się korespondencje z "placu boju", utonęła już niejedna prawda o 1 Dywizji Pancernej. W powodzi szumnych słów o "entuzjastycznym przyjęciu", o "szalających z radości tłumach" i stereotypowych opisach oficjalnych uroczystości, zginęła również prawda o niciach serdecznej przyjaźni, jaka zawiązała się między polskim żołnierzem, a ludnością wyzwolonej Belgii. Przyjaźni, która, jak polsko-australijskie braterstwo broni, jak przyjaźń polsko-szkocka, oparta jest na głębszych uczuciowych podstawach i która nie wygaśnie z chwilą przeminięcia pierwszego entuzjazmu wyzwolenia.

W naszych oficjalnych reportażach /a jakże cięży na nich i jak nas żołnierzy frontowych denerwuje ich oficjalny styl/ wyzwolona Francja, Belgia, Holandia — odmalowane są w tych samych barwach. Nam jednak się wydaje, że Belgowie zasłużyli sobie na słowa szerszej sympatii i wdzięczności, tak — wdzięczności! Od pierwszej chwili przekroczenia granicy belgijskiej uderzyła nas mnogie głośnia może, ale za to budząca zaufanie serdeczność, entuzjastyczne okrzyki na cześć Polski, gdy tylko zostały rozpoznane nasze orzelki na czapkach i przede wszystkim ów szczerzy uśmiech radości, który rozświetlał twarze wyległych na ulice tłumów.

W szalonym pościgu migały przed naszymi oczami wsie i miasta belgijskie. Niekiedy kilkadziesiąt metrów dzieliło nas od uciekającego nieprzyjaciela, a już pierwsze nasze szeregi witały były flagami belgijskimi, dumnie powiewającymi z okien domów, a tłumy, nie zważając na padające jeszcze strzały, wiwatowały na naszą cześć. Nieraz dopadaliśmy uciekających Niemców na skraj osiedli, lub miasteczek. Nieprzyjacieli otwierał do naszych czołgów ogień przeciwpancerny, z okien padały sniperskie strzały. Konieczność wojenna zmuszała nas do rozwinięcia siły ognia. Walili się wtedy i płonęły belgijskie domy. Znow jednak, po przestaniu oporu, zza gruzów i pogorzeliśk powiewały do nas czarno-żółto-czerwone chorągiewki i witały nas rozjaśnione niewymuszonym

uśmiechem radości twarze ludzi, którzy przed chwilą utracili cały swój dobytek.

Walka o Belgię, jak każda walka, pochłonięła ofiary i z naszych szeregów, w Belgii jednak nie my już musieliśmy się kłopotać o groby dla naszych kolegów. Ludność cywilna, księża, zakonnicy... dbali już o to, by zwłoki żołnierza-tułacza spoczęły na honorowym miejscu tutejszego cmentarza, by groby umajone zostały świeżymi kwiatami, by wzięte kwiecie zastąpiło nową wiazanką, nowym wieńcem. Na całym świecie pełno dziś grobów polskich żołnierzy. Nigdzie jednak groby te nie są otaczane taką czcią i taką troskliwością ogółu — jak w Belgii.

W Belgii nie trzeba było rekwirować kwater — to my tam po prostu siłą "rekwirowani" byliśmy na kwatery. Okrytym kurzem francuskich i belgijskich dróg żołnierzowi odstępowali gospodarze swoje wygodne, czyste łóżko. Wsadzali nas do niego, nie zważając na głośnie protesty wypowiedziane we wszystkich znanych nam językach. Odpoczynek poprzedzić musieliśmy nieodwołalnie skromną kolacją — czym chata bogata, tym rada /a nie była ona bogata po czterech latach okupacji niemieckiej/.

Gdy w mieście wypadł nam dłuższy postój — szeroko otwieraliśmy

Za spokój dusz drogich kolegów pułkowych:

por. Z. ZAWALSKI,  
por. R. SIKORA,  
ppor. Z. PRZYBOROWSKI,  
ppor. J. WALCZYŃSKI,  
ppor. T. SARO,  
ppor. A. SZPERBER,  
kpt. W. KOWNAS,  
ppor. W. KUCZOWICZ

oraz szeregowych tego pułku panc., poległych w walkach we Francji /Cramenil, Cauvicourt, Jort, Baron, les Champeaux i Coudehard/, Belgii /Ypres, Hoogledde, Ruysselede, Aeltre, Beveren-Waes i Merzplas/ i Holandii /Baarle Nassau, Alphen, Gilze, Breda i Moerdijk/ została odprawiona Msza Św. w kaplicy obozowej w Kinross dnia 21.XII.44

Przyjaciel pułku

## Skrzynka pocztowa

przed nami drzwi belgijskich domów. Często już nawet uciążliwe, lecz zawsze serdeczne zaproszenia sypały się dla każdego, który w jakimkolwiek języku potrafił się porozumieć z "tubylcami". Żołnierza skrupałego niezbyt wykwiłtnym stanem polowego munduru, gościli komfortowe salony belgijskich bogaczy, dostatnie mieszkania inteligencji i robotników. Wszędzie podziwialiśmy /pcha się po prostu pod pióro określenie: staropolska/ gościnność Belgów, ich niedeklamowaną radość z powodu wyzwolenia i ich specjalną, tak — specjalną — sympatię dla Polaków. W długich rozmowach nieraz słyszeliśmy niedawkowe słowa uznania dla walczącej jeszcze wówczas Warszawy, słyszeliśmy słowa szczerze zainteresowania sprawą polską, której echa dotarły tutaj poprzez okupacyjną cenzurę. Nie słyszeliśmy natomiast "przyjacielskich" rad, by "zrezygnować z bezcelowego uporu".

Po kilku dniach pobytu Polaków w mieście nie tylko młode dziewczęta, nie tylko dzieci, ale nawet stateczne panie i starsi panowie nosili na ubraniach polskie orzelki, "Polandy" i białoczerwone proporzyczki, rozdzielane przez nas hojnie jako "souveniry".

Minął okres naszego pobytu i marszu przez Belgię. Tułaczy szlak zawiodł Dywizję Pancerną do Holandii. Wspomnienia z Belgii, jedne z najmilszych wspomnień pięcioletniej tułaczki, głęboko utkwiły w naszej pamięci. Setki listów, jakie codziennie mimo trudności pocztowych wędrują w obie strony, odświeżają te wspomnienia. Nasze szlaki przepustkowe nie wioda do Francji /chyba że ktoś tam ma rodzinę/, ani do wyzwolonych miast Holandii, ale do Gandawy, Brukseli, Antwerpii i innych miast i miasteczek Belgii. I nie ciągnie nas do nich nadzieja wesołej zabawy, ale nadzieja odetchnięcia przynajmniej przez kilka dni w serdecznej atmosferze przyjacielskiego, cywilnego domu. W atmosferze, której każdy z nas najbardziej jest spragniony, niż najbardziej szampańskiej rozrywki. A wita nas w Belgii, chociaż przewleliśmy się przez nią setki tysięcy alianckich żołnierzy, ta sama gościnność, ten

same serdeczny uśmiech — uśmiech zarezerwowany wyłącznie dla Polaków. Witają nas obnoszone nadal polskie odznaki.

Czemu zawdzięczamy to wyróżnienie? Może starym więzom przyjaźni, łączącym nasze narody; może lojalności, z jaką bohaterki naród belgijski ocenia nasz wkład do tej wojny; może zrozumieniu naszej ciężkiej obecnej sytuacji, zrozumieniu, które ułatwia burzliwa historia ich kraju; a może wreszcie wzorowemu zachowaniu się żołnierzy Dywizji, którzy stanęli na wysokości zadania nie tylko na polach bitew, ale i w wspólnym życiu z ludnością cywilną uwolnionych krajów. Zresztą wszystkie te czynniki zapewne odegrały tu swoją rolę, stwarzając atmosferę, w której — gdyby nie trudności językowe — czulibyśmy się niemal jak w rodzinnym kraju.

Na zakończenie chciałbym jeszcze wyrazić kilka słów uznania dla Belgijkiej Armii Podziemnej. Nie mniej szarakowi oceniam jej wkład do ogólnego wysiłku Sprzymierzonych, ani oceniam jej zdolność bojową. Co jednak rzucało się w oczy każdemu z nas — to fakt, że żołnierze belgijscy w białych, lnianych mundurach zajmowali swe posterunki bojowe, nie czekając na nadejście regularnych sił sojuszników, że często

Ś.P.

ZDZISŁAW JAWORCZAK

st. strz. z. cenz.

poległ na froncie zachodnim.

w 1944 r., przeżywszy lat 20.

Cześć Jego pamięci!

Przyjaciele

Ś.P.

por. WITOLD KOZANECKI

dowódca baterii

Kawaler Orderu Wojennego

Virtuti Militari V kl.

padł na polu chwały w dniu

... I.1945

pod Kapelsche Veer w Holandii

O czym zawiadamiają

Dowódca, Oficerowie i Szeregowi

Pułku Artylerii Motorowej

nasze przednie strażnice wchodząc do miasteczka czy wsi, zastawiały ją już ubezpieczoną belgijskimi placówkami. Belgijscy żołnierze narzucali się też po prostu naszym dowódcom swoją gotowością do wykonania trudnych i odpowiedzialnych zadań bojowych. Pochlebnie też świadczy o belgijskiej "Białej Brygadzie" sympatia i duma, z jaką wyraża się o niej ludność cywilna.

Przypuszczając, że te stwierdzenia uzupełniają w pewnej mierze, obraz, jaki Pan Redaktor usiłował dać w swoim piśmie o wysiłku i roli Dywizji na kontynencie, łącząc wyrazy prawdziwego i głębokiego szacunku oraz żołnierskie pozdrowienia.

Karol Lewkowicz

## ODZNAKI ZA ODNIESIONE RANY

Ponieważ żołnierze przebywający w szpitalach brytyjskich i polskich dopytyują się, czy i kiedy mogą nosić odznaki za odniesione rany, wyjaśniamy, że sprawy te zostały uregulowane przepisami mundurowymi Wojska Polskiego, podanymi w Dzienniku Rozkazów nr. 51 z roku 1941, L.dz. 1340/G./M./41, w następującym brzmieniu: "Oznakę honorową za rany i kontuzje nosi się na kurtce ubioru garnizonowego, powyżej orderów. Odnazka ta stanowi naszywkę ze zwężonej do połowy wstęgi V.M. naszytej poziomo z pięciokamiennymi, masywnymi srebrynymi gwiazdkami, oznaczającymi ilość ran, przy czym rany odniesione w jednej bitwie oznaczają jedną gwiazdkę. Długość wstążeczki wynosi 4 — 7 cm., zależnie od ilości gwiazdek.

Pravo noszenia odznaki honorowej dla żołnierzy za rany i kontuzje — przynajmniej odnośnie dowódcy dywizji, względnie wyższy lub równorzędny dowódca".

W sprawie noszenia odznaki za rany, żołnierze przebywający w szpitalach brytyjskich i polskich winni zwracać się na piśmie do swojego dowódcy lub w razie jakichkolwiek trudności w tej sprawie — do Biura Opiek nad Żołnierzem M.O.N.. Wydział Dobrobytu Żołnierza /adres: Vandon House, Vandon Street, London, S.W.1/, który poczyni starania w celu przeprowadzenia formalności związanych z nadaniem odznaki honorowej za rany.

NA "PACZKI OD SERCA" DLA JEŃCÓW Z ARMII KRAJOWEJ

W załączeniu przesyłam czek na sumę £5 /pięć/ z prośbą o przekazanie na paczki dla Kobiet-Jeńców z Armii Krajowej.

M. Frolowicz

W załączeniu przesyłam Money Order na sumę £11.16.7 /słowami: jedenaście funtów, szesnaście szylingów i siedem pensów/...

Równocześnie przesyłam sh.5 /słowami: pięć szylingów/ — dobrowoly dar ser. Litwa Jerzego z...

P. o. Oficer Opieki st. szer. K.

W załączeniu przesyłam £7 /siedem funtów/ z przeznaczeniem na "Paczki od serca" dla Jeńców z Armii Krajowej.

Kwotę powyższą ofiarował I. Dziadłowski 4 Baterii.

NA POLISH CHILDREN RESCUE FUND

£13.9.0 na polskie dzieci wywiezione do Francji.

od E.S. i jego kolegów

Ministerstwo Odbudowy Administracji Publicznej, Dział Administracji Okupacyjnej zamierza urządzić w początkach miesiąca marca br. w Londynie II kurs okupacyjny dla urzędników średnich administracji ogólnej...

Warunki przyjęcia na kurs:

- 1. ukończone gimnazjum nowego typu /matura/ lub wykształcenie równorzędne.
2. znajomość języka niemieckiego
3. złożenie zobowiązania do 2-letniej służby na terenach okupowanych według dyspozycji M.O.A.P.

Osoby, które pracowały w administracji państwowej lub samorządowej oraz były zawodowo wojskami mogą być w uzasadnionych wypadkach zwolnione przez M.O.A.P. od wymaganego cenzusu.

Kandydaci pragnący wziąć udział w powyższym kursie zechcą nadesłać zgłoszenia wraz z krótkim życiorysem i zobowiązaniem /pkt. 3. warunków przyjęcia/...

Na pomoc Warszawie: £2,275

W załączeniu przesyłam Money Order na sumę £4 sh.3 d.5 stanowiącą dochód z zabawy urządzonej w Świetlicy w Szkole Pilotażu Podstawowego i proszę uprzejmie o przekazanie tych pieniędzy na Fundusz Pomocy Warszawskiej.

Świetliczarka J.N.

Przesyłam załączone postal orders na sumę £5.5.0 złożoną przez Polskie WAAF ze Stacji Lotniczej Newton, N. jako prezent gwiazdkowy z przeznaczeniem na pomoc dzieciom polskim z Warszawy.

Uprzejmie proszę o przekazanie załączonych £15 na pomoc Warszawie. Pieniądże te zostały uzyskane za lalki na loterii fantowej w: 1/ Polskim Odz. Płucnym przy Bryt. Szpitalu Bridge of Z. £5, 2/ Spadochronowej Kompanii Zaopatrzenia £10.

M. Wysocka

£10.10.0 for the Help for Warsaw Fund from the inhabitants of Comrie.

Pieniądże uzyskane w sumie £2.7.0 z bilardu "Kaprali" w C.W.P. i T. przekazuję na pomoc dzieciom Warszawy.

K.W. kapral

NA POMOC DLA KRAJU

W załączeniu przesyłam dwa B.M.O. na łączną kwotę £93.9.0, którą szeregowi... Kompanii, Obozu Szkolno-rozdzielczego "A" zebrałi samorzutnie, przeznaczając ją na "Pomoc dla Kraju".

J. S. P/114 D-ca Kompanii...

W załączeniu przesyłam kwotę £8.1.6 zebraną przez pacjentów Polskiego Ośrodka Rehabilit. na "Pomoc dla Kraju".

Welfare Officer W.M.

W dniu imienin p. Komendanta Szpitala Wojennego Nr. 2 Płk. Dr. Mazanek Henryka zamiast kwiatów £6 /sześć funtów/ na pomoc dzieciom w Polsce.

Siostry dyplomowane

Bezmiennie £1 na pomoc Warszawie zamiast kosztów poszukiwania.

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £145.15.11 /słowami: sto czterdzieści pięć funtów, piętnaście szylingów i jedenaście pensów/...

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £2.275.14.10 /słowami: dwa tysiące dwieście siedemdziesiąt pięć funtów, czternaście szylingów i dziesięć pensów/.

BŁĘKITNY FUNDUSZ

Przesyłam "Postal Order" na 20 sh. na fundusz dla "rannych Armii Krajowej".

A.L.

W załączeniu przesyłam M.O. na kwotę £13.17.0 na "Fundusz Błękitny". Kwotę tą składają pacjenci Auxiliary Hospital w Aberfeldy.

Jeden z pacjentów

Zamiast opłaty za nekrolog sh.10 na "Błękitny Fundusz"

przyjaciel pulku

PODZIĘKOWANIE

Delegatura P.C.K. w Edynburgu składa najserdeczniejsze podziękowanie Dowódcy, Oficerom, Podoficerom i Szeregowcom... Komp. Warszt. Dyw. Grenadierów Panc. za hojną ofiarę 150 paczek świętecznych...

ZJAZD I WALNE ZEBRANIE ZRZESZENIA EWANGELIKÓW - POLAKÓW W W. BRITANII

odbędzie się w Edynburgu, dnia 2 i 3 lutego br. w New College.

Porządek dzienny Zjazdu: Piątek, dnia 2 lutego 1945, godz. 6.00. Herbatka towarzysząca w New College. Sobota, dnia 3 lutego 1945, godz. 10.00. Nabożeństwo i Komunia św. w St. Giles Cathedral, godz. 12.00.

W wypadku nieuzyskania kworum o godz. 3 w pół godziny później odbędzie się Walne Zbranie które będzie prawomocne bez względu na liczbę obecnych.

Kierownictwo Zjazdu zarezerwowało pewną ilość bezpłatnych noclegów. Śniadanie się znajdowało w YMCA... St. Andrew's Street /naprzeciw stacji kolejowej Waverley/...

Kto z członków Sił Zbrojnych chce korzystać z bezpłatnego noclegu z dni 2 na 3 lutego, oraz obiadu dnia 3 lutego winien zgłosić się do kierownika nabożeństwa...

Minister Obrony Narodowej, pismem z dnia 16 stycznia 1945 r. (z 39 74 P.1/45) zezwolił osobom należącym do Polskich Sił Zbrojnych /armia lotnicza, marynarka/...

POSZUKIWANIA

LEONARD POTRAC, urodzony 26.X.1919 w Wielkim Klinczu, powiat Kościerski, Pomorze, poszukiwany przez Pomarańskiego Edmunda P/76 Polish Forces.

STANISŁAW SZAJKOWSKI, urodzony 15.8.1916 w Tylicach, powiat Toruń, poszukiwany przez Faleńskiego Antoniego P/76 Polish Forces.

JAN SMOLKA ma list do odebrania w Redakcji "Polski Walczącej".

Kpt. KAZIMIERZ BANASIŃSKI ma list do odebrania w Redakcji "Polski Walczącej".

P. JÓZEF SZEMKA ma list do odebrania w Redakcji "Polski Walczącej".

P. ZBIGNIEW DOMINIK ma wiadomość w Redakcji "Polski Walczącej". Prosimy o podanie adresu.

Poszukiwani przez Karola Wilczewskiego: ALFRED MOTYKA, ur. 1914 r. w Boguszowicach /ostatni adres Boguszowice/, JERZY REGINEK ks. ur. 1910 r. w Katowicach /ostatni adres prob. Murcki/, GERARD REGINEK ur. 1911 r. w Katowicach /ostatni adres Katowice/, JAN BUCHALIK ur. 1920 r. w Paruszewicach /ostatni adres Rybnik/, JÓZEF BUCHALIK ur. 1922 r. w Jaruszewicach /ostatni adres Rybnik/, JÓZEF BANASKI ur. 1914 - 17 r. w Lasowicach /ostatni adres Tarnowskie Góry/, WIKTOR SZEWCZYK ur. 1905 r. w Boguszowicach /ostatni adres pow. Rybnik/, TOMASZ REGINEK ur. 1887 r. w Opolu /ostatni adres Rybnik/.

Poszukiwani: przez Z. Grabowskiego: ALOJZY GAJTOWSKI ur. 1923 w Chelmży /ostatni adres Chelmża/, przez Jana Pruseckiego: ANTONI GÓRALSKI ur. 1912 w Lipinkach /ostatni adres Lipinki/, przez Aleksandra Borowskiego: KAZIMIERZ ORŁOWSKI ur. 1926 w Bydgoszczy /ostatni adres Bydgoszcz/, przez Antoniego Góra: TEODOR GÓRSKI ur. 1901 r. w Redzie /ostatni adres pow. Wejherowo/, przez Antoniego Góra: PAWEŁ GÓRSKI ur. 1915 r. w Redzie /ostatni adres pow. Wejherowo/.

Wszelkie wiadomości należy kierować: Oficer Opieki: Polish Forces P/84.

Poszukuje osób, któreby mogły udzielić informacji o wypadkach i warunkach życia w okresie 1939 - 44 w okolicy Stręży /Daszawa/.

Zgłoszenia do Redakcji "Polski Walczącej" pod "K.R."

WERINAJSEK

SMIEMYSIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE...



—Wodzu, Rosjanie przeszli granicę Rzeszy... szczęście, myślałem, że przejechali na czołgach...

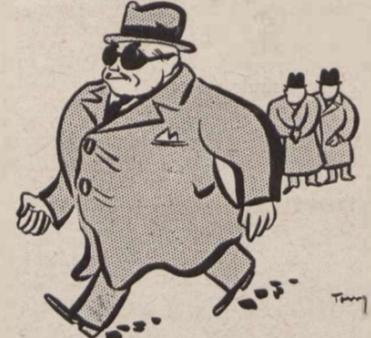
MIEDZY PESTKAMI —Ale skąd ona awansowała na podporucznika? —Jak to skąd? Przecież ukończyła podchorążówkę kawalerii jeszcze w Grudziądzu...

W GRONIE SPECÓW WOJENNYCH Pewna mieszkanka Palestyny, piśnie do jednego z młodych oficerów — na adres m.p. Szkocja: "Ty mój orle biały, ja bez Ciebie żyć nie mogę!..."



—Co to się stało, że Polacy tak salutują? —To umyślnie, ażeby im ręce nie opadały... ze zmartwienia.

NASI W LONDYNIE...



—Panie, co to za jeden z tych okularach? —To jeden z naszych pesymistów. Wszystko widzi na czarno...

DOBRA RADA

Do lekarza wojskowego zwraca się żołnierz: —Panie doktorze, jestem chory! —A co wam dolega? —Płuca mnie boją, gardło nawala, szumi w głowie, żołądek boli, reumatyzm szarpie i wątroba się odzywa...

GDZIEŚ W SZKOCJI

W niedzielę mają się odbyć ćwiczenia polskich spadochroniarzy. Instruktor Anglik jest niezadowolony. Mruczy pod nosem: "Chcecie to skaczącie — ale nie gwarantuję wam czy się o t w r z a... Przecież to jest niedziela szkocka".

CZEKAJ TATKA LATKA...



—Panie marszałku, zimno mi jest! —Nie szkodzi, jeszcze rozgrzejesz się, jak będą awans. Zostaniecie sierżantem i wtedy otrzymacie przydział whisky...

NA KURSIE OFICERÓW RACHUNKOWYCH

—Panie kapitanie, proszę dać przykład na równanie o dwóch niewiadomych. —Konferencja Roosevelt-Churchill i konferencja Roosevelt-Churchill-Stalin! —To jest równanie o trzech niewiadomych. Jeszcze nie wiemy, kiedy dojdzie do skutku...

Tekst i rysunki: TONY

APEL

Delegatura P.C.K. w Edynburgu zwraca się z gorącym apelem do wszystkich Polaków w Szkocji o pomoc w dostarczeniu rannym i chorym żołnierzom w Szkocji — przedmiotów mogących umilić im czas ich pobytu i choroby w szpitalu. Najbardziej pożądane są: polskie książki naukowe i beletrystyczne, zapalniczki, słodycze i t.p.

SPIS RZECZY:

Aleksander Janta: Odpowiedzi na ankietę. — Aleksander Janowski: Prawo do niepodległości. — Aleksander Boray: Przegląd tygodniowy. — M. J. Gordon: Nowości lotnicze. — Z tygodnia na tydzień. — Z prasy i walk Armii Krajowej /Koleżeństwo broni. Edwin: Łączność działła. Świadek: Celestynów po raz trzeci. — Jerzy Głębocki: Wyspa wiatru. Rzecz o Dywizjonie Obrony Wybrzeża. — Krzysztof Klinger: Salernnejskie wspomnienia ze "Ślaza" — Scrutator: Sprawy polskie w książkach angielskich. — Skrzynka pocztowa. — Tony: Werinajsek.

EDYNBURG

40, Brunsfield Place. Tel. 52396. 2, Drumsheugh Place. Tel. 21712. Obok West End, na przedłużeniu Queensferry Street.

KSIĘGARNIA POLSKA "CO SŁYCHAĆ"

Posiada wielki wybór książek polskich i angielskich. Słowniki i podręczniki szkolne. Kalendarze ścienne i kieszonkowe. Upominki, orzełki, dystynkcje i odznaczenia wojskowe. Sprzedaż gazet i czasopism.

BARWNA MAPA POLSKI

wraz ze związłym skrótem statystycznym w języku angielskim i francuskim /umieszczonym na boku mapy/. Format 17 1/2" x 22 1/2" cali, ukaże się wkrótce w sprzedaży.

Cena 2/6 Cena 2/6

Cała rozsprzedaż tej mapy oddana do Kiosku w Ognisku Polskim w Londynie, 45, Belgrave Square, S.W.1.

Ze względu na ograniczony nakład, uprasza się o zgłaszanie zamówień jak najszybciej, tylko pod adresem Kiosku.

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro. Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej. Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową — sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową — sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

LATWY PODRECZNIK ANGIELSKIEGO

w 20-tu LEKCJACH ukaże się w sprzedaży w najbliższych dniach. Cena 2/-

Przerobienie 20-tu lekcji daje dobre podstawy do dalszej nauki. Słówka podane z wymową. Ćwiczenia łatwe i dające się zastosować w codziennej konwersacji. Skład główny: Administracja Dwutygodnika "CO SŁYCHAĆ", 40, Brunsfield Place, Edynburgh, Tel.: 52396.

BE TALLER! INCHES PUT YOU M L E S A H E A D!



Increased my own height to 6ft. 3 1/2 ins. CL'ENTS GAIN! to 6 inches No Appliances - No Tablets - No Dieting Ross System N-ver Falls Fee £2 2s. Complete Details 6d. stamp MALCOLM R. ROSS Height Specialists, 8M, Myte, London, W.C.1